Nr. 36 (1184). Warszawa, dnia 23 Sierpnia (5 Września) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

Na nową nutę.

Nadchodzi obecnie chwila, w której dyplomacya europejska bezpośrednio na półwyspie Bałkańskim czynna, w asystencyi dyplomacyi pośrednio interesowanej w losach tego półwyspu, porzuci dotychczasowe ścieżki i ścieżynki cierpliwego wyczekiwania i wkroczy na szeroki gościniec czynu. Nota wysłana do Porty po zabiciu konsula Rostkowskiego w Monastyrze skromnością swych żądań; demonstracya okrętów sewastopolskich w Inadyi swem nagłem odwołaniem; stosunki obu posłów z Portą w ostatnich czasach swem jakby odrętwieniem — wskazują, że rola raczej życzliwych doradzców niż surowych wykonawców lada chwila się skończy. Zamiast jawnych rad, wskazówek, nawet pogróżek, szanujących udzielność turecką zaczną baterye dyplomatyczne zasypywać Turcyę ognistemi kulami żądań bezwarunkowych, nieprzepartych a naglących, które z panowania tureckiego w Europie mogą pozostawić tylko to, czego sułtan do zabawek swych koniecznie potrzebować będzie.

Zapowiedzią nowego zwrotu jest nietylko łagodność okazana w obu powyższych wypadkach, ale i jako fakt spełniony nieulegające już żadnej wątpliwości dyplomatyczne i militarne porozumienie się Austryi z Rumunią. Nieobojętnemi dla domniemania mającego za sobą wszelką powagę myśli krytycznej są podróże wrześniowe i zapowiedzi odwiedzin w Wiedniu; nawet odbyta już przez króla Edwarda wizyta na dworze austryackim nie jest pozbawiona związku z nową potajemną robotą dyplomatyczną. Bulgarom udało się rzeczywiście pobudzić Europę do wystąpienia dzielniejszego, niż to, którem Turcyę w lutym r. b. raczej uśpiono, niż do biegu podcięto; tylko nie udało się im przywołać interwencyi w swym własnym wyłącznym interesie: przeciwnie pobudka może im zgotować przyszłość, jakiej się nie spodziewali, może ich tylko przesadzić z pod gorszego obcego panowania pod lepsze, ale również obce. Nie losy ludu, narodu, czy żywiołu bulgarskiego, ale losy terytoryów przez nie zamieszkiwanych dadzą linię wytyczną temu nadmiarowi sił, który się już w gabinetach dyplomatycznych uzbierał.

W Wiedniu na straży nietylko idei austryackiej, jak wiadomo, tem szczerzej ośmieszanej, im poważniej w stosunki polityczne sięga samo źródło śmiechu, ale mocarstwa austryackiego, z którem liczą się jeszcze inne potęgi świata, a bądź co bądź liczyć się też powinny i najradykalniejsze nawet przekonania i dążności — stoi *Reichswehr*. W ubiegłym tygodniu dziennik ten, wychodząc z memoryału bulgarskiego, malującego Turków jak dyabłów, z udaną wiarą w ich dyabelstwo rzucił od siebie, bez żadnych tajemniczych zaręczeń, pomysł podziału wzburzonej obecnie części półwyspu Bałkańskiego pomiędzy Rosyą i Austryą: pierwsza zajęłaby połać wschodnią, druga zachodnią, a to zajęcie, przy zupełnem uznaniu praw zwierzchniczych Turcyi, zapewniałoby Europie spokój, który mącą obecnie Bulgarowie powstaniem, Turcy uśmierzaniem powstania. Stałoby się w r. 1903 z Macedonią to, co się stało z Bośnią i Hercegowinę w r. 1878; jak wówczas sama tylko Austrya, tak obecnie wespół już z Rosyą otrzymałaby mandat od Europy — wszystko jedno, głośny czy milczący, ale mandat.

Indépendance belge daleko uroczyściej rozkłada przed oczyma czytelników swoich już nie prosty tylko pomysł dziennikarskiego mózgu, ale tajemnicę rzeczywistej roboty dyplomatycznej. Gazeta brukselska pisze: „Dowiadujemy się ze źródła, które dotyczas nigdy nas nie zawiodło, że mocarstwa toczą pomiędzy sobą układy o sprawę wschodnią i porozumiały się już w następujących punktach: Jeżeli Porta ukaże się niezdolną do ustalenia niezwłocznego porządku i przeprowadzenia reform, wówczas mocarstwa same zabiorą się do spełnienia tego zadania. Rosya zajmie Bosfor i Dardanelle, Austro-Węgry pomkną swą okupacyę wojskową przez Macedonię aż po Saloniki (Solon), Włochy zaś staną na straży wybrzeża albańskiego wzdłuż Adryatyku. Zajęcie takie będzie miało znamiona tymczasowości; władza sułtana nie dozna uszczuplenia nawet na jeden włos. Charakter zajęcia będzie taki sam, jak przy zajęciu Egiptu przez Anglików.“

Pozwólmy wyschnąć owemu źródłu, które „nigdy nie zawiodło,“ patrzmy na doniesienie tylko, jak na domniemanie prawdy, kryjącej się w gabinetach: otrzymamy nowy ton w polityce bezpośrednio stykającej się z ogniem i bezpośrednio też zainteresowanej w pożarze. Ton ten prędzej lub później musiałby zapanować dla zażegnania wojny między dwiema współzawodniczącemi żądzami; a wskazówki logiczne i faktyczne zalecają uznanie go za panujący już w chwili obecnej. Nikt nie będzie tak naiwnym, aby zapewnienie

dziennika o nietykalności władzy sułtańskiej uważał za coś więcej, niż prosty, dyplomatyczny frazes, tradycyjnie przy podobnych przedsiebiorstwach używany; zestawienie zaś z okupacyą Anglików w Egipcie na każdym człowieku rozsądnym sprawia raczej wrażenie ironii, niż rękojmi; każdy wie, że ów włos metafory brukselskiej ma grubość liny okrętowej. Co Europa raz pochwyci, tego już nie puści w razie urzeczywistnienia się zamysłów. Niewątpliwem już będzie wyparowanie Turcyi z Macedonii; wystąpi tylko wątpliwość: jak prędko wyparowaną zostanie Austrya — oczywiście nie z samej tylko Macedonii, ale z Bośni i Hercegowiny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Powstanie narodowe Bulgarów w Macedonii, popierane jawnie przez Bulgarów z księstwa, potajemnie przez rząd książęcy, zapisało na swych kartach nowy czyn — wysadzenie wagonu w Orient-Express, dążącym d. 27 z. m. do Konstantynopola; 6 osób zabitych, 18 pokaleczonych. Rozeszła się pogłoska o innej jeszcze próbie skuteczności dynamitu— głównego środka walki bulgarskiej — mianowicie w Inodii, którą w parę dni po pojawieniu się, opuściła była eskadra sewastopolska, nie bez wpływu zaniepokojonej dyplomacyi. W miejscowości powyższej Bulgarowie mieli jakoby wysadzić w powietrze latarnię morską. Przybyło nadto na regestr kilka potyczek, dwie pomyślne dla powstańców; przybyło też i kilka większych rzezi i wiele pojedynczych mordów. Ruch największy panuje wciąż około Monastyru, ale ruchawka występuje już daleko stamtąd na południo-wschód w Sandżaku Kirkilisse. Turcya ze swemi 167,000 piechoty, 3,400 jazdy i 440 armatami wobec powstania okazuje wielkie niedołęztwo, a żołnierze i całe jednostki taktyczne naprawić je usiłują okrucieństwem, wywzajemniając się Bulgarom pożogami, wycinaniem w pień bądź osad, bądź zaskoczonych oddziałów nieprzyjacielskich. W takim stanie rzeczy, utrwalającym się z dnia na dzień, zarówno dziennikarstwo, jak dyplomacya, znajdują bodźce do pomysłów, którymi pierwsze z nich zaczernia papier, druga zaś ożywia gabinety najbardziej zainteresowane, przygotowując nowy układ stosunków na Bałkanach.

Prawdopodobieństwo działań dyplomatycznych w tym kierunku wzmaga się równolegle z nieprawdopodobieństwem skutków, jakieby logika oderwana przyiązywać chciała do obietnic tureckich, tak skwapliwie danych p. Zinowjewowi. Dotychczas przysłała Porta tylko nowego dowódcę do Monastyru, ukarała sprawców nowego morderstwa i rozpoczęła układy z kilku oficerami belgijskimi; organizacya żandarmeryi, oczyszczenie urzędów, uwolnienie podejrzanych—są jeszcze muzyką przyszłości.

Król serbski objeżdża kraj; ma przy sobie swych synów. Obecnie zwiedzał strony południowe. W Kragujewacu oficerowie w przemówieniach ofiarowywali mu swe szpady i pałasze i krew swoją — dla wielkiej polityki narodowej, a jakiś kmieć, podstawiony lub samoistny, wykładał mu potrzebę rządów absolutnych. Pierwszej ofiary król nie odrzucił, dyplomatycznie wszakże wywinął się od przyjęcia; za drugą skarcił patryotę powołaniem się na konstytucyę. W obecnej walce narodowej Bulgarów Serbowie przestaną być ciekawymi widzami z chwilą, gdy dyplomacya uczyni z niej kwestyę europejską: wtedy będą musieli bronić swych współnarodowców nietylko od Turków, ale i od Bulgarów.

Mylną okazała się wieść o zabiciu w Beyrucie, w Syryi, wice-konsula St. Zjedn. Am. Pół., Magelsena; strzelał tylko do niego jakiś Turek, ale nawet go nie zranił. Dzienniki posłały już na miejsce zbrodni eskadrę amerykańską.

Od d. 31 z. m. przez dni trzy król Edward był gościem cesarza Franc. Józefa w Wiedniu. Odwiedziny te w okolicznościach danych będą miały zapewne doniosłość polityczną.

Pewnem jest zawarcie umowy dyplomatycznej i konwencyi militarnej między Rumunią i Austro-Węgrami.

Przesilenie węgierskie trwa ciągle. Król rozmawiał z Lukacsem, ministrem skarbu, i Daranyim, ministrem rolnictwa. Obaj oni wraz z Wekerlem mają jakoby najlepsze widoki na przewodnictwo w gabinecie. Fr. Józef zgadza się podobno na szkoły, na język służbowy węgierski, nie przystaje tylko na węgierską komendę. Sam Kossuth widzi trudność i na początek domaga się jedynie komendy batalionowej.

Między obu połowami monarchii stanął w ostatniej chwili układ o premia cukrowe w granicach konwencyi brukselskiej.

D. 19 z. m. rozporządzenie cesarza i króla zatrzymało nadal w szeregach tych żołnierzy, którzy mieli być uwolnieni d. 1 października— skutek obstrukcyi węgierskiej.

D. 28 z. m. ces. Wilhelm w Kassel przypomniał uczestnikom bankietu prowincyi Hessen-Nassau swe studya gimnazyalne ongi, swe znoje i ciężary rządowe obecne, wreszcie swą odpowiedzialność za 58 milionów Niemców—tylu ich bowiem w państwie niemieckiem naliczył.

Sądy w Poznańskiem prześladują stowarzyszenia polskie; hakatyści domagają się nowych środków prawodawczych — a szlachta polska po dawnemu wydaje ziemię, nie swoją, w moc wrogów, a ludowi polskiemu wytacza procesy o wybory. We wrześniu otwarta będzie akademia niemiecka w Poznaniu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Zjazd posłów rusińskich. — Ich żądania. – „Rak koncesyonaryuszowski.“ — Zwołanie sejmu. — Domy ludowe.

W połowie sierpnia odbył się we Lwowie zjazd posłów rusińskich—sejmowych i parlamentarnych, tak z Galicyi, jak i z Bukowiny. Wzięli w nim udział wszyscy posłowie, bez różnicy stronnictw—Barwiński obok Romańczuka, Kos obok Korola, Wassilko obok Ostapczuka, narodowcy radykalni obok „inkamerowanych,“ Starorusini obok nacyonalistów ukraińskich. Narady trwały dość długo i, co u Rusinów jest rzadkim wypadkiem, zgodnie, pomimo obecności tak różnorodnych żywiołów. Wynikiem tych narad jest rezolucya o charakterze manifestu programowego, podpisana przez wszystkich uczestników zjazdu, a więc posiadająca pozory doniosłego przemówienia politycznego.

Posłowie rusińscy nawiązują swe wystąpienie do obecnego kryzysu, przeżywanego przez państwo austryacko-węgierskie wskutek zawikłań peszteńskich. Uważając chwilę dzisiejszą za nader poważną dla losów monarchii, poczytują oni za swój obowiązek patryotyczny, tak w interesie państwa, jak w interesie własnego narodu, wypowiedzieć, na czem polega ich stanowisko wobec zagadnień, będących na dobie.

Jan Andruszewski.

Zderko i „On.“

Ciepło było w Ulicku w ten wieczór wiosenny. Ziemia pachniała taką świeżością, takie z niej biło życie, że kto był słaby lub bardzo stary, dostawał zawrotu głowy od tej woni, a chorzy ciężko albo rychlej od niej zdrowieli, lub też prędzej kończyli, „którym było pisano.“

Słońce szło za bór, cienie drzew, chałup i dymów słały się po wsi.

Skrzypiały wrota w opłotkach, żórawie po studniach.

Starcy opuszczali przyzby wraz ze słońcem, wlekli się z powrotem do izb dusznych i pustych, bo ludzie i bydło byli jeszcze w polu.

Nikomu nie spieszyło się dziś do chaty, tylko gdzieniegdzie wracały dziewki od źródła, chlapiąc po drodze wodę z pełnych konewek.

* * *

Stary Zderko niewiele mógł teraz zrobić zwierzynie. „Nie było już komu.“

Nogi mu ociężały, potężne dawniej plecy, na które największego kozła zarzucał, jak dziecko, zgięte miał w kabłąk, ręce trzęsły się „nie do strzału.“ Sześćdziesiąt to lat, jak chadzał do lasu ścieżką nad jarem.

Czy deszcz, czy śnieg, czy mróz, wychodził zwykle pod wieczór, a wracał różnie: w nocy, nad ranem, czasem aż w samo południe, zroszony, zbłocony, głodny, śpiący, zziębnięty.

Co widział „tam“ i słyszał, zostawało najczęściej dla ludzi zagadką, tajemnicą między nim a borem.

Świadczyćby mogły o tem chyba zwalane „farbą“ mchy i paprocie, póki ich deszcz nie opłókał.

Kiedyś był tu leśnym.

Wówczas tak przywykł do lasu, że potem chodził i na swoją rękę.

Przed strażą i panem rządcą krył się tak samo, jak przed nim kryły się dziki i kozły......

. . . .

Ostatnią zimę przeleżał na piecu, a chociaż niby to wstał niedawno, za piersi go jeszcze trzymało.

Kolbuszewska z olszyny mówiła, że nic już z niego nie będzie, chybaby się wypowiadał, lub „żeby wiesna wyciągła z niego chorobę,“ choć to już trudno.

Zderko wierzył babie, bo ona „wiedziała,“ i gotował się na śmierć.

Kazał sobie uprać koszulę, zgodził deski w tartaku, dał się nawet zawieźć do cerkwi, wyspowiadał się i czekał.

* * *

Dziś go wszyscy odeszli, sam ostał się w chacie. Przez drzwi uchylone, przez szpary w ścianach płynęła wiosna do izby.

Pająki wyszły ku niej pod strzechę do słońca, z pod kulawej ławy pył uciekał po smugach światła. . . . .

Ziemia pachniała coraz silniej, jak to bywa, kiedy się ma na deszcz.

Dziwna moc płynęła powietrzem, wchodziła w kości, wnikała w krew.

I nagle zdało się starcowi, że go bierze jakiś przeczysty prąd ożywczy, niesie w bór pachnący, szumiący, zielony, — nieśmiertelny......

„Naszło go“ coś.

Zlazł z przyzby i wszedł do sieni, gdzie był otwór na strych.

Włożył weń rękę i wydobył z ukrycia tak starą prawie jak on, odrutowaną w łożu strzelbę.

Oglądał ją pod zorzę, okurzał rękawem, koło kapsli coś poprawił.

Pierwsza część rezolucyi zawiera zapewnienie, że naród rusiński w Austryi, od chwili, kiedy go zrządzenie losu połączyło z monarchią austryacką, zawsze składał dowody, że mu leżą na sercu integralność, siła i znaczenie monarchii. A jednak polityka austryacka była niezmiennie względem Rusinów niesprawiedliwa. Tu następuje przesadnie na czarno malowany obraz obecnego stanu narodu rusińskiego. Polityka rządów austryackich, nieuznających znaczenia i stanowiska narodu rusińskiego wobec państwa i monarchi, zepchnęła ten naród na stanowisko niższej wagi i wydała go w Galicyi pod panowanie polskie, na Bukowinie zaś, na polu politycznem, pod przewagę Niemców, a na polu kościelnem — Rumunów. Wskutek tego, szczególniej w Galicyi, zapanował względem Rusinów system zupełnego bezprawia, faktyczny stan wyjątkowy. Ucisk i ubezwładnienie narodu rusińskiego w Galicyi przez rządy austryackie na korzyść panującego żywiołu polskiego wyrodził nawet w kołach polityków polskich dążenie nietylko do rozszerzenia autonomi kraju, lecz także do wyodrębnienia Galicyi, a co za tem idzie, i Bukowiny od Austryi i przeistoczenia tych krajów w państwo osobne, z Austryą tylko unią związane. Program ten stał się dziś głównem żądaniem narodu polskiego, w tym kierunku rozwinięto w kraju bardzo żywą, nieprzebierającą wśrodkach agitacyę.

Tę politykę rządów austryackich uważają posłowie rusińscy za sprzeciwiającą się sprawiedliwości i równouprawnieniu wszystkich ludów w państwie, niezgodną z zasadami konstytucyi, błędną i w skutkach swych szkodliwą. Jest ona, zdaniem posłów rusińskich, główną przyczyną dzisiejszej, tak opłakanej sytuacyi politycznej w państwie austryackiem, główną przyczyną rozluźnienia i osłabienia stosunków między narodami a państwem oraz oziębienia się uczuć, które dla istnienia i przyszłości państwa są niezbędne.

Ta pierwsza część rezolucyi posiada wszelkie cechy dotychczasowej polityki kół przewodnich społeczeństwa rusińskiego. Widzimy tu zapewnienia bezgranicznego przywiązania do monarchii austryackiej i skargi, że jej rząd nie opiekuje się dostatecznie „Tyrolczykami Wschodu.“ Widzimy również obok słusznych skarg na upośledzenie Rusinów przesadne żale z powodu jakoby „nieprzyznawania narodowi rusińskiemu *żadnych* środków na cele ekonomicznego podniesienia i kulturalnego rozwoju,“ albo „tłumienia *wszystkich* usiłowań samopomocy i samoistnego bytu,“ czy też „zmuszania Rusinów do wyrzeczenia się swej narodowości.“ Wszystko to — serwilizm czarno-żółty i płaczliwość skarg obok zupełnej prawie bezczynności na polu politycznem — stanowi tradycyjną taktykę polityków rusińskich wszelkich odcieni, z wyjątkiem, naturalnie, tej grupy, która się ogniskuje przy piśmie *Wola* i kierowana jest przez ludzi tej miary, co M. Hankiewicz, S. Wityk i inni.

Błędem zasadniczym całej polityki Rusinów-narodowców było to, że nie chcieli zabrać się do ciężkiej, żmudnej pracy codziennej nad politycznem uświadomieniem mas chłopskich, nad zorganizowaniem tych mas do walki politycznej i nad skoordynowaniem tej ostatniej z usiłowaniami obydwóch polskich partyj ludowych — wiejskiej i miejskiej. Zamiast tego wyczekiwali stale łaski z Wiednia, ofiarując się za narzędzie dla stłumienia wrzekomo antiaustryackich tendencyj Polaków, a jeśli zabierali się do jakiejś roboty praktycznej wśród ludu, to jedynie na krótki czas przed wyborami Taka działalność dorywcza pożądanych owoców przynieść nie mogła. Po czasowem napięciu sił następował zwykle ich upadek, zniechęcenie ogólne ogarniało polityków, wszystko zasypiało aż do nowych wyborów, które ma się rozumieć kończyły się nowem rozczarowaniem. Rozczarowanie to jeszcze bardziej potęgowało liczenie na Wiedeń, jako na jedyną ucieczkę Rusinów i kazało politykom rusińskim skarżyć się na ucisk z założonemi rękoma i wyglądać zmiłowania od rządu centralnego.

Żądania, wystawione w rezolucyi posłów rusińskich, wyglądają bardzo ładnie i nikt nie miałby nic przeciwko nim, gdyby były istotnym programem polityki realnej Rusinów — nikt ze szczerych demokratów, naturalnie, bo partye reakcyjne, poczynając od stańczyków a kończąc na demokratach narodowych, muszą uważać je za zabójcze dla tych interesów klasowych, których one bronią.

Posłowie rusińscy uważają, „w interesie państwa“ za konieczne takie uregulowanie stosunku Austryi do Węgier, aby łączność między temi dwoma państwami była stałą, a więc bez peryodycznego odnawiania ugody i opartą na podstawie sprawiedliwej, albo żeby między obu państwami istniała tylko unia osobista. Posłowie rusińscy żądają przeprowadzenia w Austryi reformy autonomii narodów na takiej podstawie, ażeby przy zabezpieczeniu załatwiania wspólnych interesów przez uporządkowany parlament centralny i silny, „bezstronny“ rząd centralny, każdemu narodowi dano prawo samoistnego stanowienia we wszystkich sprawach narodowych i kulturalnych z wykluczeniem wszelkiej przewagi jednego narodu nad drugim. Aby została wydana ustawa narodowościowa, jako uzupełnienie do istniejących ustaw konstytucyjnych, które zapewniałyby każdemu narodowi nienaruszalność jego najważniejszych praw narodowych i kulturalnych. Równocześnie posłowie rusińscy „imieniem całego narodu rusińskiego“ protestują jak najbardziej stanowczo przeciw wyodrębnieniu Galicyi, przyczem oświadczają, że wszelkie usiłowania, dążące do urzeczywistnienia tego projektu, spotkają się z bezwzględną i do ostatecznych granic idącą obroną całego narodu rusińskiego w Austryi. Temu się niepodobna dziwić, jeśli będziemy pamiętali, czem jest w stosunku do Rusinów stronnictwo, najwytrwalej propagujące ideę wyodrębnienia Galicyi — stronnictwo narodowo-demokratyczne, które potrafiło z hasła wyodrębnienia Galicyi uczynić jakiegoś potwora policyjnego, strasznego dla każdego, komu są drogie zasady demokracyi.

Dalej, posłowie rusińscy żądają reformy ordynacyi wyborczej do parlamentu, do sejmu i do rad gminnych w miastach i po wsiach na podstawie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania. Następnie — ścisłego przestrzegania praw konstytucyjnych i swobód obywatelskich, zupełnej niezawisłości sądów i usuwania samowoli w administracyi. W końcu — jak najszybszego poparcia kulturalnych i ekonomicznych potrzeb narodu rusińskiego w Austryi, a więc założenia odpowiedniej ilości szkół rusińskich wszelkich kategoryj i wszelkich stopni w Galicyi i na Bukowinie; uwolnienia prawosławnych Rusinów na Bukowinie od hegemonii rusińskiej na polu kościelnem; uregulowania rzek w Galicyi Wschodniej i na Bukowinie; zorganizowania kredytu rolnego; poczynienia ułatwień w nabywaniu ziemi dla włościan rusińskich; uregulowania wychodźstwa i wszechstronnej pracy robotników.

Na wszystkie te żądania może zgodzić się każdy szczery demokrata bez różnicy narodowości, ale czy takie ich wyliczenie,

---

Wreszcie nagłym ruchem wtulił broń pod resztki podartej sukmany i, rozejrzawszy się ostrożnie w koło, wyszedł z nią do sadu, a stamtąd olchami, nad jarem, powlókł się do lasu.

* * *

Las woniał, śpiewał, grał, tętnił, trząsł się cały.

Woń zeszłorocznych liści i zapach ziela świeżego, zmieszane z oddechem pąkowia i szpilek, rozpierały pierś Zderkowi, odurzały go.

Siedział na pniu zwalonym, na „halewie“ wśród leszczyny, i wciągał z rozkoszą ostrą krzemienną woń zgniłych skrzypów i błota, łagodne, miodowe tchnienie iw, całych żółtych od kwiatu.

„Dumał“ o dawnych czasach, wsłuchany w chór głosów, tak dobrze mu znanych.

A żyłoż tam, żyło!

Jakby suma się odprawiała, jakby cerkiew śpiewała w Wielkanoc.

Kosy, drozdy gwizdały pieśń, przyniesioną gdzieś z południa, coraz głośniej, coraz namiętniej, rzekłbyś, nawzajem zagłuszyć się chciały......

. . . .

Całe życie przypomniało się Zderkowi.

Toż to jakby szedł do ślubu w niedzielny ranek majowy i jakby mu dyaki śpiewały:

„Mnohaja lita, wo zdrowie, wo szczastie, wo spasenje, mnohaja lita.“

I szła z nim jego zazula, jego hołubka, jego Parania, która mu w parę lat potem przy dziecku umarła.........

Drozdy i kosy darły się teraz na cały las, a jemu się zdawało, że to dyaki śpiewają pazastas po Parani, że zawodzą: „wiernaja pamiat', wiernaja pamiat'.“

Lekki opar wzniósł się z ziemi, jako dym kadzielny, kiedy pałamarz okadza ołtarz w święto, a las grał i grał, ale cichł już i poważniał, jakby wtórował zadumie Zderkowej.

Przed nim snuło się życie ubiegłe.

Przeszłość zlewała się z wieczorem dzisiejszym, niby sen z jawą.

W trawach na bagnisku „szczekał“ cietrzew, a jemu się zdawało, że to łysy bresze w sadzie, a on się boi, czy panicz ze dworu nie skrada się do jego detyny Hanuni, jego oka w głowie, Peraninej wnuczki.

Oj dałby mu dał...

Hanunię najwięcej lubił z całej rodziny.

Czysta bo Parania.

Smukła, niby młody pręt leszczyny, a oczy u niej jak sadzawki w uroczysku.

I przypochlebne to jakieś takie jak kotka, a miękka w sercu, jak bazia wierzbowa, jak sama pani, kiedy przyjdziesz do niej z prośbą.

W taki to wieczór pachnący, jak dzisiaj. kiedy mór był we wsi, leżała Hanunia w gorączce, bez pamięci.

Mówili wszyscy, że nic z niej nie będzie.

Poszła jej matka, Paranina córka, Kseńka, do dworu po radę.

Wysłuchała jej pani, daje lekarstwo, pociesza, jak może, a ona flaszeczkę za pazuchę, w pas się kłania, całuje panią w rękę i mówi:

„Kiedy tak, to dajcież już i deskę na domowinę, bo dziecku musi przyjść na koniec.“

„To robak, nie trzeba jej wiele, jedna deska wystarczy.“

Dalej mówić nie mogła, płacz ją zdławił, i wyszła ze dworu, ocierając łzy płótnianką........

. . . .

Mówiły baby, że chybaby wypocić jeszcze chorobę, więc lały dziecku w usta gorący kwiat lipowy, a Zderko przykrył je wszystkiem, co było w chacie z odzienia.

Potem zaparł szczelnie drzwi i komin zatkał płachtą, żeby duszy nie puścić.

Okienko wpuszczone w ścianę i tak nie otwierało się nigdy.

niepoparte żadną akcyą polityczną, przyniesie jakąś korzyść samym Rusinom, o tem można wątpić poważnie. Nikt chyba nie zaprzeczy, że reforma wyborcza w duchu głosowania powszechnego niewątpliwie utrwaliłaby stanowisko Rusinów, usunęła mnóstwo ich dolegliwości i osłabiła właśnie te sfery, które Rusinów uciskają. Rozumieją to chyba i posłowie rusińscy, skoro wstawili do swych żądań i postulat powszechnego, bezpośredniego, tajnego i równego prawa wyborczego. A jednak dziś, kiedy partya robotnicza, a poniekąd i stronnictwo ludowe agituje energicznie za tą reformą, nikt nie widzi udziału w tej walce posłów rusińskich, którzy podpisali powyższą rezolucyę. Żaden z nich nie zadał sobie trudu zwołania zgromadzenia ludowego, żaden nie stanął na zgromadzeniu, zwołanem przez kogoś innego, w prasie rusińskiej nie widzimy artykułów o głosowaniu powszechnem, jednem słowem posłowie rusińscy nie robią nic, aby przyczynić się do urzeczywistnienia najważniejszego ze swych żądań. A wobec tego czyż można brać na seryo wszystkie te przemówienia pod adresem rządu centralnego?

Opinia publiczna poczyna zwracać nieco pilniejszą uwagę na t. zw. „raka koncesyonaryuszowskiego." Choroba ta grasuje w Galicyi, jak zresztą i w całej Austryi, w sposób epidemiczny. Polega ona na tem, że jednostki prywatne, najczęściej posłowie do parlamentu, otrzymują koncesye na budowę kolei, sprzedają te koncesye przedsiebiorcom i w ten sposób pobierają niezłe dochody — kosztem ludności kraju oczywiście. Człowiek, przyglądający się bliżej galicyjskiej walce o mandaty, częstokroć wprost nie rozumie, dlaczego jakiś X. lub Y. koniecznie chce zostać posłem, nie posiadając do tego żadnych kwalifikacyj, i sypie pieniądze na prawo i na lewo, byle się mandatu dochrapać? Dlaczego człowiek o poglądach dość liberalnych wnosi haracz do stańczykowskiego „komitetu dla rozbojów wyborczych," ażeby zostać posłem, chociażby drogą nadużyć? Tę zagadkę rozwiązuje się dość łatwo, jeśli przyjrzymy się temu, co robi taki poseł w parlamencie. Siedzi sobie cichutko w Kole polskiem, na posiedzeniach Izby bywa rzadko, ale za to kręci się w przedpokojach ministeryalnych bardzo energicznie. Rezultatem tego kręcenia się jest najczęściej właśnie koncesya na kolej. Sumka, otrzymana przy odprzedawaniu takiej koncesyi jakiemuś przedsiebiorstwu, najzupełniej wynagradza straty, poniesione przez posła przy kandydowaniu i pozwala mu uważać posłowanie za całkiem intratny interes.

Proceder koncesyonaryuszowski, praktykowany od szeregu lat, uważany był za coś tak naturalnego, że nikt, prócz pism radykalnych, nań się nie oburzał. Obecnie jednak, kiedy hasło uprzemysłowienia kraju stało się bardzo popularnem, zwrócono uwagę na posłów-koncesyonaryuszów, jako na szkodników względem przemysłu krajowego. Oto, koncesyonaryusz kolei miejscowej Tarnopol-Zbaraż, p. Niementowski, poseł i właściciel Zbaraża, oddał budowę tej kolei w przedsiebiorstwo berlińskiej firmie Eisenbahn-Bau-Gesellschaft. A trzeba wiedzieć, że do budowy tej kolei rząd przystąpił z udziałem 1,600,000 koron, kraj zaś z udziałem 250,000. Co się tyczy koncesyonaryusza, to ten ani groszem nie ryzykuje. Koncesyonaryusze kolei Brzeżany-Podhajce, z p. posłem Walewskim, który wyrabiał koncesyę, na czele oddali budowę kolei w przedsiebiorstwo firmie wrocławskiej Lewi & Co. Koncesyonaryuszami tej ostatniej kolei jest oprócz posła Walewskiego kilku szlagonów z okolic, przez które ta kolej pójdzie. Rząd przystępuje do jej budowy z udziałem 12,000,000 koron, kraj z udziałem 1,625,000 k., tak że koncesyonaryusze subskrybowali zaledwie 1,000,000 k. Pójdą więc krajowe pieniędze za granicę — w ręce Niemców, którzy sprowadzą swoje własne wyroby stolarskie i żelazne, swoich własnych techników, dozorców, a nawet i robotników. Tymczasem z kraju robotnicy uzdolnieni muszą uciekać z braku pracy. Na niemożliwość przedsiewzięcia budowy kolei siłami krajowemi pp. koncesyonaryusze nie mogą się powoływać, gdyż zawiązało się już i wyrobiło kilka firm polskich dla budowy kolei. Szereg linij miejscowych został już przez te firmy zbudowany z zupełnem powodzeniem. W Sanoku istnieje dobrze prowadzona pod względem technicznym fabryka wagonów, w Krakowie mamy lejarnię szyn, powstały potrzebne fabryki stolarskie — jednem słowem jest zupełna możliwość wykonania wszystkich bez wyjątku robót kolejowych siłami swojemi. Mało tego. Sejm, uchwalając przystąpienie do budowy tych kolei, postawił warunek, że będzie ona oddana tylko przedsiebiorstwom krajowym i w drodze licytacyi publicznej. Koncesyonaryusze warunku tego nie dotrzymali. Opinia publiczna wypowiada się więc za tem, aby sejm, nie zważając na osoby pp. posłów, postawił swoje *veto* i albo zmusił koncesyonaryuszów do przeprowadzenia budowy siłami krajowemi, albo cofnął swój udział. Rzecz jednak bardzo wątpliwa, czy sejm zechce się mieszać do tak „delikatnej" sprawy, czy posłowie sejmowi zgodzą się zrobić przykrość swym kolegom.

Zresztą samo zwołanie sejmu w najbliższym czasie jest dość problematyczne. Według zapewnień namiestnika sesya sejmowa ma się rozpocząć około 20 września, przyczem prawdopodobnem jest, że potrwa ona nieco dłużej i w ten sposób zajmie się nie samą tylko sprawą powodzi. Istotnie, pora dla zebrania się sejmów jest obecnie dość dogodna. Przesilenie na Węgrzech przewleka się, wobec czego zwołanie wiedeńskiej rady państwa nie jest pilne, zwłaszcza że mogą w niej odrazu powstać bardzo niemiłe dla Korbera komplikacye. Ma się np. pojawić wniosek o postawienie prezesa ministrów w stan oskarżenia z powodu zniesienia ustawy o kontyngensie cukru w drodze rozporządzenia na podstawie § 14. Zdawałoby się, że wobec tego sejmy mogłyby być zwołane nader rychło. Tymczasem okazuje się, że ani marszałek, ani Wydział krajowy z żądaniem zwołania sejmu nie wystąpili, bo dotychczas nie został jeszcze zebrany dostateczny materyał co do szkód, wyrządzonych przez powódź. Rząd centralny zwala winę na marszałka i Wydział krajowy, Wydział krajowy i marszałek na wydziały powiatowe, te na gminy poszczególne, a gminy znowu na chłopów, którzy nie dają znać o szkodach, które im wyrządziła powódź. I kraj czeka cierpliwie na ślamazarną akcyę czynników odpowiedzialnych, a rząd zwleka ze zwołaniem sejmu.

W Krakowie pojawiła się odezwa tymczasowego komitetu budowy domów ludowych, podpisana przez kilkadziesiąt osób z inteligencyi demokratycznej i kilkunastu wybitniejszych włościan ze stronnictwa ludowego. Odezwa wychodzi z założenia, że lud wiejski poczyna brać coraz wybitniejszy udział we wspólnej pracy — szkoły średnie i wyższe są pełne młodzieży włościańskiej, lud zdobywa oświatę, każda uroczystość rocznicowa, każdy ważniejszy wypadek polityczny znajduje oddźwięk w masach, a jednak brak temu ludowi ognisk, w którychby duchowa strona jego życia znaleźć mogła zaspokojenie. Lud oprócz karczmy nie ma innego ogniska, gdzieby w dni świąteczne lub długie wie-

---

Tymczasem maleństwo się dusiło.

Rozkładało rączki, jakby chwytać niemi chciało powietrze.

Dniało, gdy się drzwi chaty otwarły, i weszła pani, nie dała ich zamknąć.

Wpłynęła cicho, jak anioł cierpienia, położyła białe ręce na śniadem czole Hanuni, na licach spalonych gorączką, niby plamy dnie śnieżne na ugór wiosenny. Wpłynął z nią do izby rzeźwy wiatr poranny, i tak zapachniało fijołkami i czeremchą, że aż zdurzyło gołąbkę, i usnęła.

Wtenczas Zderko poszedł do księdza i dał mu dwie cyranki na parastas, żeby Pan Bóg się zlitował do reszty, i nie zabierał Hanuni do Siebie.

Dyak i pałamarz byli dobrzy ludzie, a Zderko w karczmie powiedział im o co chodzi, więc tak pomagali księdzu, tak żałośnie „ciągnęli," tak zawodzili z całej duszy, że aż Pan Bóg się zmiłował, i dziewczynka wyzdrowiała........

Wodził ją potem do lasu, na grzyby, orzechy. A byłoż ich tam dawniej, jeszcze nim bór wycięli ode wsi. Każdy grzyb inny.

Sosnowy — czarny z wierzchu, z białym jak mleko spodem, krępy, zwiędły w sobie.

Z grabiny—bury, ze świerków—biały, ciemno-podpalany.

Pachniało od nich w całej chałupie.

Suszyli je, wiązali na sznurek, we wianki.

A orzechy! Który dojrzały, żółty jak wosk, sam się łuszczył.

A co uciechy, kiedy znalazł w ziemi bywało i kwartę myszaków, jeden w jeden jak wybrał najzdrowsze, albo w dziupli dębowej i garniec łuszczaków, takich, które wiewiórki chowały sobie na zimę.

Co to była za radość, kiedy je sypał dziewczęciu w fartuszek.

Perłami by się tak nie ucieszył.

Stanęło to wszystko w myśli Zderkowi, i uczuł ogromną wdzięczność do Boga za Hanunię.

A ot i jego, choć w takich latach, wyprowadził dopiero co z choroby, i dał doczekać wiosny, a może i sianokosów i żniwa....

Hej świecie Boży!

Hej życie! życie!

Dziesięć razy by się żyło, gdyby tak można!

* * *

Gdzieś daleko w głębi boru ozwało się parę strzałów stłumionych.

Dziwny dreszcz przebiegł starcowi po krzyżach.

Widzi mu się, że jest na polowaniu w Wierzbianach.

Mają brać miot na dzika.

Chłopcy zachodzą ostrożnie, żeby go nie spłoszyć.

Cisza, tylko wiatr rusza gałązką olchową.

Naraz trąbka i wrzask obławy, taki jakiś żałosny, jakby śmierć wiała powietrzem.

I znowu cisza.

Serce bije tak głośno...

Jeszcze gotów usłyszeć...

Wciąga dech w siebie, pierś ciśnie kułakiem...

Trzask, łomot, sapanie...

Dudni ziemia, a zwierz, jak żywa góra, pędzi prosto na pana Kotwicza.

Pan Kotwicz zęby zjadł na myślistwie.

Podniósł strzelbę, wziął go na cel „na sztych."

Tylko czekać strzału.

A on wali naprzód, potwora, a kłapie kłami i fuczy jak didko, i pianę z pyska toczy.

Prosto na pana Kotwicza.

Nie wystał pan, nie strzelił, rzucił strzelbę, i w kilku susach był już na półsążku.

Dzik uszedł bez strzału.

Wtenczas to przezwał go Zderko „kapitanem."

Nazywał go także po prostu „on."

„On," to marzenie jego od rana do nocy przez cały szereg lat, największy, najmędrszy z dzików na wszystkie lasy.

czory zimowe mógł się gromadzić na wspólną pogawędkę, rozrywkę lub narady. To też każda gmina, każda wieś polska powinna posiadać własny „dom ludowy“ jako ognisko życia umysłowego, duchowego, oraz jako miejsce godziwej rozrywki. W tym to kierunku rozpoczyna akcyę Towarzystwo budowy domów ludowych, a najpierwszym, jaki pragnie zbudować, będzie dom ludowy w Krakowie. Dom taki, oprócz sal na zebrania, odczyty, koncerty, biblioteki, czytelnie itp. musi mieścić w sobie wielką gospodę, czyli tani hotel dla przyjeżdżających z różnych stron kraju pielgrzymów. W tym domu powinny znaleźć pomieszczenie: tanie kursa dla synów włościańskich, uczęszczających do szkół średnich, kąpiele ludowe, herbaciarnia wraz z tanią kuchnią oraz rodzaj bazaru i wystaw dla pośrednictwa w zbyciu wyrobów włościańskich, biuro pośrednictwa pracy, stowarzyszenia opieki nad dziewczętami, udającemi się do miasta za zarobkiem, wreszcie pomoc prawna. Jak widzimy, program nader szeroki, nawet za szeroki, jak na początek. Oby się jak najprędzej wcielił w życie.

Daleki.

Zdobyta placówka.

Działacze narodowi na Śląsku — pisze autor broszury „Dzień polski w Cieszynie“ — trzymali w ustawicznem oblężeniu biura władz, a gdy to nie pomagało, odgrażali się dalszymi krokami wojennymi. Groźba poskutkowała — zezwolono na otwarcie gimnazyum, które w d. 10 października 1895 r. z możliwą uroczystością się odbyło. Jeszcze w przeddzień organ polakożerczej partyi niemieckiej — „Silesia“ — starał się udowodnić, że otwarcie polskiego gimnazyum jest rzeczą niepożądaną, nietylko dla Niemców, ale nawet dla polskiej ludności Śląska, że jest dziełem nie potrzeby rzeczywistej, ale fanatyzmu narodowego Polaków w Galicyi... Lud nie taki głupi, a najlepszy dowód, jak „niepożądane i niepotrzebne są szkoły polskie dla chłopa polskiego na Śląsku“ — jest ten, że dotychczas przeważająca większość uczniów polskiego gimnazyum w Cieszynie składa się z włościan okolicznych.

W d. 15 maja 1898 r. — pisał *Nowy czas*, pismo wychodzące po polsku w celach germanizacyjnych: — „Jesteśmy też przeciw upaństwowieniu tego gimnazyum, bo nie chcemy jego utrwalenia....“ — Jak wiadomo, upaństwowienie nastąpiło w r. b. Jednocześnie komunikują nam, że Macierz szkolna zamierza użyć swych funduszów na otworzenie kilku szkół polskich. Seminaryum polskie, nauczycielskie w Cieszynie nie przyszło do skutku, gdyż władze szkolne, śląskie nie chcą się zgodzić na galicyjski plan naukowy, ani na podręczniki galicyskie, gdyż na Śląsku obowiązuje inny plan i inne podręczniki! (*sic!*). Aby zrozumieć podobne wybryki władz krajowych, rozpatrzmy się nieco w stosunkach miejscowych. Prof. Jerzy Harwot w broszurze p. t. „Cieszyn i ziemia cieszyńska“ tak je charakteryzuje: Niemcy w Księstwie są żywiołem najwięcej wpływowym, choć najmniej licznym. Główną swą siedzibę mają w ośmiu miastach Księstwa, chociaż i tam stanowią większość tylko w jednym Bielsku. Są to przeważnie urzędnicy i więksi przemysłowcy, i stąd pochodzi, że stanowią główny zastęp inteligencyi księstwa. Czesi mieszkają zbitą masą w zachodnim pasie nad granicą morawską, trudnią się częścią rolnictwem, częścią przemysłem, szczególnie tkackim i górniczym, a prócz tego zajmują w innych częściach kraju posady urzędowe. Polacy, stanowiący około $^2/_3$ całej ludności, zamieszkują cały kraj, prócz wymienionych, przez Niemców lub Czechów zajętych, okolic. Jest to lud pracowity, oszczędny, usposobienia powolnego, ale wytrwały i wielce uzdolniony; o wysokiej moralności tego ludu świadczą najwymowniej kroniki sądowe, które wykazują, że rabunki, kradzieże i mordy są mu prawie nieznane. Lud polski trudni się przeważnie rolnictwem po wsiach, rzemiosłami w miastach. Większych zakładów przemysłowych lub większych posiadłości w rękach polskich niema wcale. Księstwo cieszyńskie należy do krajów przemysłowo wysoko rozwiniętych. Przeszło 40% ludności żyje z przemysłu. Najbogatszym darem natury, jakim się cieszy ziemia cieszyńska, są obfite pokłady minerałów. Istnieją liczne kopalnie węgla kamiennego w rewirze ostrawsko-korwińskim. Hutnictwo cieszyńskie nie mniejsze ma znaczenie od górnictwa. Na szczególną uwagę zasługuje przemysł tkacki. Główną swą siedzibę ma w Bielsku, Frydku i Cieszynie. Handel przewozowy jest ożywiony wskutek położenia kraju na granicy między dwoma najpotężniejszemi mocarstwami Europy. Łatwo zrozumieć grozę takiego położenia. Lud polski— robotnicy, oddani na pastwę różnych verwalterów, burgrathów, hüttenmajsterów i całej masy podobnych osobników, z których każdy za swój obowiązek uważa deptanie polskich uczuć narodowych. Szkoły przemysłowe, handlowe — w rękach Niemców. Nie przesadzamy na razie ważnego znaczenia tych szkół. Zapewne, gimnazyum w Cieszynie — to olbrzymia placówka.

Jeszcze w 1895 r. „Warszawiak“ w broszurce „Ze spraw śląskich“ pisał: „Powiedziano: kto ma szkoły, ten ma przyszłość.“ I to jest prawda! Ale trzeba uważać, że powiedziano najpierw: kto ma „szkoły“ — a nie kto ma jedną średnią szkołę polską. Więc jeśli szkoły ludowe zostawia się dobrowolnie w obcych rękach, a dobija się o jedną średnią, to nie zapewni to przyszłości. A powtóre powiedziano dobrze, że szkoła dopiero „przyszłość“ daje. Bo zanim ze szkoły dziecko wyjdzie skończonym człowiekiem, nim się dobije stanowiska, to trzeba na to lat, trzeba jednego pokolenia. Pożytek z gimnazyów okaże się co najmniej dopiero za lat 15 lub więcej. A tymczasem co? Wszystko, co tu się dzieje, ma zostać po staremu? Przez te lat pietnaście lub więcej germanizacya, cisnąca się przez wszystkie szkoły ludowe wiejskie i miejskie, przez urzędy, nawet kościoły, ma dalsze robić zdobycze? Zapewne, ma częściową racyę „Warszawiak,“ ale obecnie „Macierz szkolna“ ma rozwiązane ręce po upaństwowieniu i może fundusze na ten cel obrócić, a nawet, podobno, zamierza. Również wiele słuszności ma uwaga „Warszawiaka“ co do potrzeby zakładania, zwłaszcza w Cieszynie i Bielsku, gdzie są liczne zakłady naukowe, „burs polskich“ dla młodzieży, gdyż byłaby to zarazem i „pomoc naukowa prawdziwa“ i swego rodzaju ognisko ciepłe, rodzinne, narodowe dla młodzieży, które, gdyby istniało, z pewnością nawet niemiecka szkoła nie potrafiłaby zniemczyć młodzieży. Nie bez racyi jest również głos dr. Twardowskiego w broszurze p. t. „Stosunki polskie na Śląsku,“ aby Towarzystwo pomocy naukowej, rozporządzające znacznymi funduszami, zlało się z Macierzą, aby Macierz prócz wspierania pieniężnego uczniów miała prawo: opiekować się zdrowiem fizycznem dzieci polskich w obrębie księstwa przez tworzenie kolonij letnich, wychowywanie ubogiej dziatwy w specyalnym przytułku lub schronisku; dostarczać uczącej się dziatwie

---

Śnili o nim leśni, mówili panowie, robiono na niego obławy w całej okolicy.

„Przez niego“ przesiedział się Zderko rok w kryminale.

Stało to się tak:

Na obławie w Wróblaczynie ksiądz ze Szczerca postrzelił odyńca.

Zrazu sam ksiądz, a potem leśni szli za tropem, ale że poszedł w cudzy las, więc dali spokój.

Zderko nie był już w służbie, ale mimo to, gdzie było polowanie, podkradał się od cudzych granic i stawał ze strzelbą w gęstwinie.

Stał i teraz za bukiem, w hruszowskim lesie, a kiedy leśni wrócili z niczem, poszedł za farbą, i nie „opamiętał się,“ aż w trzeciej wsi.

Po drodze trafił mu się kozioł, więc strzelił do niego i narobił hałasu.

Było to jak na złość pod samem oknem leśniczego.

Zbiegli się ludzie, schwytali go, odebrali mu kozła i strzelbę, a leśniczy podał go jeszcze do sądu.

. . . .

Wysiedział się rok we Lwowie, a kiedy drzewo rąbał lub zamiatał ulice, myślał najczęściej o Hanuni, o siwej krowie, którą wychował od jałówki i o dziku.

I Ksenka i mąż jej, a zięć jego Matwij, i chłopak ich Jurko snuli mu się po głowie, jak żywi stawali mu przed oczy, ale oni mu nieraz wymawiali, że nie robi przy domu, tylko by się włóczy po lesie, więc żal miał do nich.

Rznie piłą sągi gdzieś na podwórzu w Łyczakowskiej ulicy, na bruku kamiennym koło zlewu, a tu widzi pole wyorane, żółty piasek rozsypuje się pod pługiem, aż prosi się, żeby go brać w ręce i całować.

Nabrał Matwij hreczki z worka, sypie do sakwy. Zdjął kapelusz, cisnął nim o ziemię, żegna się: Wimia Otca i Syna i Światoho Ducha — W imia Otca i Syna i Światoho Ducha —W imia Otca i Syna i Światoho Ducha, amin; potem bierze ziarno w garść i rzuca pod skibę. I chodzi tak po roli, jak bocian po młace, i sypie czarną hreczkę na żółty piasek.

Przychodzą sąsiedzi, mówią: „Daj Boże szczastie,“ „Daj Boże i wam!“ odpowiada im, a twarz ma poważną, niby ksiądz na procesyi.

W górze pełno skowronków, a rola panie, tylko kłaść się na nią i umierać.

Takie wizye miewał Zderko.

Ale najmilszą tęsknotą, najsłodszem marzeniem był mu odyniec.

Ile razy zbudził się rano i zamiast sadu i pola ujrzał ciemne sklepienie i kratę w oknie, uciekał myślą do kniei, do swobody.

„Jemu“ tam lepiej, mruczał.

Gdzie też on teraz? świdrowało mu w mózgu. Co robi? Chudy, czy tłusty?

Obiegał myślą wszystkie jego przesmyki, wszystkie legowiska po gąszczach świerkowych, bagienka, w których się kąpał, wykroty, pod którymi legiwał.

Najcięższej bywało pod wieczór.

Gdy mrok zapadał i trzeba było wracać z roboty w szare, duszne mury kaźni, a Zderko przypomniał sobie Hanunię i chatę, i wiosnę, i bór, i zapach lasu i świętej ziemi, to mu się aż rwało coś w piersiach, dławiło go w gardle.

Wówczas zaciskał zęby i prosił tylko Boga, aby „jakiego głupstwa nie zrobił“, żeby jeszcze dłużej nie siedzieć. Czasem się także modlił pocichu, by mu Ilko z Sopota nie zabrał dzika, podczas gdy on tu siedzi.

„Za moją krzywdę Boże, spraw, aby „on“ przyszedł na moje ręce...“

* *

(D. n.).

i młodzieży ze wszystkich zakładów naukowych odpowiednich książek w języku polskim, przez zakładanie bibliotek szkolnych, czytelni i wypożyczalni bezpłatnych, urządzanie widowisk, obchodów itp.

I czegóżby jeszcze nie potrzeba Ślązakowi? Tomy cała o tem pisać! W oświadczeniu Macierzy widzimy, że upaństwowienie gimnazyum polskiego w Cieszynie nie uśpiło jej energii, w oświadczeniu władz szkolnych, krajowych, że gotowe podjąć walkę aż do granic absurdu. Grozę położenia można zbadać na miejscu wobec cyfr, faktów i spostrzeżeń osobistych. Mieliśmy tę sposobność w ciągu paru miesięcy i czujemy całą siłę napięcia energii trzech żywiołów, walczących o Śląsk, o „perłę monarchii." Przewaga liczebna Polaków i poparcie wspólmacierzystych dzielnic nie daje jeszcze przewagi Polakom. Jest to lud — lud dzielny, ale i potężnie dezorganizowany przez wrogów. Dość popatrzeć na aparat naukowy i pedagogiczny Niemców, aby to zrozumieć choć w części. Mają oni: gimnazyum klasyczne, szkołę realną w połączeniu z uzupełniającą szkołą przemysłową, seminaryum nauczycielskie w połączeniu z 4-klasową szkołą wydziałową męzką, takąż żeńską, 4-klasową szkołę prywatną ewangelicką, 8-klasową prywatną szkołę wydziałową żeńską i ogród froeblowski, konwikt Celesty, Alumneum — w samym Cieszynie. Jeżeli się zwróci uwagę na świetną organizacyę szpitalów, zakładów dobroczynnych, opieki nad ubogimi, niemczenie w tych instytucyach ludności polskiej przez zasadę wdzięczności, na niemczenie dziatwy w szkołach ludowych, będzie się pojmowało, że upaństwowienie gimnazyum polskiego w Cieszynie — to tylko zdobycie jednej placówki, i że po za tą placówką sto innych czeka obrony, pomocy, a nawet rychłego ratunku!..

W. K.

KONGRES SYONISTÓW

W BAZYLEI.

Był to *najgłośniejszy* kongres, jaki się odbył kiedykolwiek. Pięciuset kilkudziesięciu członków rozprawiało tak hałaśliwie, krzyczało tak namiętnie, że najwprawniejsi stenografowie nie mogli zapisać porządnie ani jednej mowy. Wrodzona rasie semickiej nerwowość i skłonność do tworzenia zgiełku, różnorodność żywiołów, które spłynęły do Bazylei z rozmaitych państw, społeczeństw i kultur, zupełny brak dopasowania się i tresury parlamentarnej, podniecenie wywołane dawno odczuwanym bólem i świeżemi podrażnieniami, gra wyobraźni rozpalonej w fanatastycznych nadziejach — wszystko to stworzyło kocioł wrzący i kipiący zmieszanymi głosami. Mimo pozornie zadawalających wyników propagandy i zabiegów, tegoroczny wiec dla trzeźwiejszych głów położył na przyszłość syonizmu ogromny znak zapytania. Wprawdzie Bank kolonizacyjny posiada już kapitału 241,213 funt. sterl. (około 2 mil. rubli), a „fundusz narodowy wynosi 466,000 frank. (około 180,000 rb.), ale za tę cenę jeszcze nie można kupować krajów. Zresztą niema ich do sprzedania. O ustąpieniu Żydom Palestyny sułtan turecki nie chce słyszeć; Synaj okazał się nieodpowiednim do kolonizacyi; rząd angielski zgodził się oddać na ten użytek Ugandę w Afryce, ale jej mieszkańcy energicznie zaprotestowali przeciwko temu. Z trudnościami praktycznemi łączy się porażka ideowa. Z chwilą bowiem, jak syonizm wyrzekł się, bodaj tylko czasowo, Palestyny i zaczął szukać gdzieindziej kawała ziemi na osiedlenie, znikł główny rdzeń w jego apostolstwie — obietnica odzyskania *ojczyzny* i cały ruch zamienił się na zwyczajne przedsiewzięcie emigracyjne. Dlatego też syoniści rosyjscy, gdy przyszła pod obrady kwestya Ugandy, podnieśli krzyk, a nawet opuścili salę. Starano się naprawić położenie uchwałą, że $^3/_4$ z „funduszu narodowego" ma być używane na zakupywanie pól, ogrodów, lasów itd. w Palestynie, wódz syonizmu, dr. Herzl, zapewniał obecnych, że zajęcie Ugandy byłoby tylko czasowem, a zamykając obrady, wzniósł okrzyk biblijny: „Wprzód mi uschnie moja prawa ręka, niż zapomnę o Jerozolimie!" — wszystko to jednak nie zatarło wrażenia, że prąd syonistyczny, spotkawszy tamę, skręcił swój bieg w inne łożysko.

A łącznie z tym faktem zaostrzyła się krytyka jego wartości. Nawet tak przyjazny Żydom i przez nich redagowany dziennik, jak *Frankf. Zeitung*, powiada: „Syonizm może tylko powstrzymać zabiegi, dążące do równouprawnienia, a zarazem wyłączyć wiele pierwiastków, które zawsze dały się pozyskać dla celów humanitarnych. Do tych celów należy wytwarzanie dla wypędzonych Żydów miejsc do osiedlania się w odpowiednich okolicach, które wobec tendencyj narodowych przybiera całkiem inny charakter i przez to traci wiele sympatyi. Jeszcze gorszym wszakże jest dalszy skutek, mianowicie, że naturalny proces asymilacyjny śród rozmaitych narodów zostaje sztucznie powstrzymany, a wyosabnianie Żydów, dzięki wyosabniającej polityce syonistycznej, bardziej wzrasta. Właściwie zatem syonizm pracuje dla rasowego antisemityzmu, który, wychodząc z tych samych założeń, usiłuje napiętnować Żydów, jako obcych w zmieszanych z nimi społeczeństwach i cofnąć cały rozwój kulturalny. To też zwalczanie go jest prostem zadaniem kultury."

J. B.

Listy z Francyi.

Paryż, 28 sierpnia.

Przyczyny katastrofy na kolei metropolitalnej. — Opinia publiczna o eksploatacyi kompanii kolejowej.

Nie przebrzmiały jeszcze echa strasznej katastrofy z dnia 10 b. m. w podziemnej kolei elektrycznej, znanej pod nazwą Métropolitain, a od czasu pogrzebania 84 ofiar przezwanej Nécropolitain. Opinia publiczna nie zadowoliła się tłomaczeniem dyrekcyi kolejowej, która utrzymywała, że przyczyną wypadku był błąd maszynisty t. zw. wattmana i nieroztropność publiczności, która zamiast szukać ratunku w ucieczce, domagała się zwrotu 15 centimów, wyłożonych na bilet jazdy. Niesprzedajne organa prasy prowadziły na swą rękę ankietę celem wyjaśnienia istotnych przyczyn katastrofy: dzięki temu wyszły na jaw nader liczne fakty, świadczące o niesumienności, chciwości i nadużyciach kompanii, która dotychczas traktowała publiczność podróżującą, jak towar lub bydło, niewiele się troszcząc o jej zdrowie i bezpieczeństwo.

Od chwili otwarcia kolei metropolitalnej w 1900 r., a zwłaszcza od kilku miesięcy, gdy zaczęła fukcyonować druga linia przez bulwary zewnętrzne, pracująca ludność paryska przyjęła z entuzyazmem ten tani i szybki środek komunikacyi (przeciętna ilość dzienna pasażerów wynosiła 250,000), nie zastanawiając się nad tem, czy nie zagraża on zdrowiu i życiu, oraz czy nie należałoby żądać reform i ulepszeń. Od czasu do czasu pociąg stawał w drodze „en panne", a pasażerowie spokojnie wyczekiwali w wagonach, aż znów pójdzie dalej. Nieraz pędził pusty lotem błyskawicy, rzucając snopy iskier, aby schronić się na większej stacyi i ugasić wszczynający się pożar. Czasami zmuszano podróżnych do przesiadania z jednego pociągu uszkodzonego do następnego. Wszystko to publiczność przyjmowała ze spokojem i cierpliwością, oczekując wśród żartów i śmiechów nadejścia prądu elektrycznego, na którego kaprys i swawolę wszystko składano. Do d. 10 b. m. zdarzyły się drobne wypadki uszkodzenia ludzi, którym natychmiast i bezspornie wypłacano wynagrodzenie. Prasa nader rzadko krytykowała zdrowotność i bezpieczeństwo kolei metropolitalnej, a radcy miejscy i deputowani często jej akcyonaryusze, aby znaleźć przy niej zajęcia dla swych wyborców, nie chcieli i nie mogli tego uczynić.

Były to więc złote czasy dla kompanii. 200,000 akcyj wypuszczonych w 1898 i w 1901 r. po 250 fr. doszły na giełdzie aż do 650 fr. Pomimo że w kontrakcie z miastem wyraźnie było zaznaczone, że rada zarządzająca powinna być wyłącznie złożona z Francuzów, a tabor kolejowy fabrykowany na miejscu, we Francyi, to jednak w zarządzie wszechpotężnymi byli bogacze belgijscy, a przedewszystkiem milioner brukselski Empain, który posiadając największej akcyj mógł przeprowadzić, że znaczna część materyału kolejowego wyrabianą była w jego fabrykach w Belgii.

Zamiast wykwalifikowanych inżynierów francuskich, administracya roiła się od osobistości bez żadnych kwalifikacyj naukowych, lecz protegowanych lub spokrewnionych z głównymi akcyonaryuszami. Zamiast wybierać na maszynistów fachowych elektro-techników, brano ludzi niemających najmniejszego pojęcia o mechanice i elektrotechnice, i przyuczano ich w przeciągu kilku tygodni,do obchodzenia się z motorem pociągowym. Nie starano się utrzymać i wyszkolić starego personelu, obznajmionego już z Métropolitain, lecz za najmniejszą niedokładność w garderobie, opóźnienie się, brak uległości lub chęć bronienia swych praw — wydalano dawnych pracowników. Dziś z ogólnej liczby tysiąca zakontraktowanych w r. 1900 jest już około 800 dymisyonowanych; na ich miejsce przyjęto po większej części byłych wojskowych, ci bowiem, mając emeryturę do 800 fr., zadawalają się chętnie płacą 5 fr. dziennie, zobowiązują się należeć do t. z. żółtego syndykatu i kooperatywy administrowanej właściwie przez samą dyrekcyę. Ponieważ żadne kwalifikacye nie są wymagane, przeto napływ próśb ludzi, szukających zarobku, jest nadzwyczaj wielki, co znowu pozwala kompanii obchodzić się bezlitośnie ze swymi podwładnymi i stawiać im coraz uciążliwsze warunki pracy. Tak np. maszynista t. zw. wattman, na którym ciąży cała odpowiedzialność, jest płatny dziennie od 5 do 5 fr. 50 c., a jego zajęcie, wymagające wielkiego natężenia uwagi, zmusza go nieraz do pozostawania około 10 godzin w małej kabinie bez pożywienia i zaczerpnięcia powietrza pod otwartem niebem. Prócz chorób, jakie zagrażają wszystkim pracownikom kolei z powodu przebywania w tunelu bez należytej wentylacyi, oraz ciągłego trzęsienia i huku, wattman narażony jest specyalnie na osłabienie i utratę wzroku z przyczyny iskier elektrycznych. Do chwili obecnej 84 wattmanów ma wzrok silnie uszkodzony.

Oszczędność więc na personelu, częste jego zmienianie, werbowanie z pośród ludzi niefachowych i nieuświadomionych a łatwo ulegających — oto pierwsze zadanie dyrektorów. Chcąc utrzymać akcye na wysokiej stopie, kompania nietylko musi robić oszczędności na swych pracownikach, ale i na swym taborze kolejowym i na całem urządzeniu. Nie myślała więc o przeprowadzeniu na stacyach rur wodociągowych pod pozorem, że woda nie może być w sąsiedztwie elektryczności, tak jakby jej nie można było izolować — a tymczasem

w razie pożaru oddałaby ona wielkie usługi. Nie chciała motoru, zastępującego lokomotywę, umieścić całkiem oddzielnie, jak to ma miejsce w Londynie, usuwając z jego sąsiedztwa wszelkie materyały palne, lecz postawiła w przedziale pierwszego wagonu.

Do budowy wagonów nie użyto materyałów ogniotrwałych i nie zabezpieczono ich od ognia choćby tak, jak się to robi z dekoracyami teatralnemi. Szyny elektryczne nie były nawet deskami pokryte, co uniemożliwiało pasażerom opuszczanie wagonów. Stacye posiadały po większej części tylko jedno wyjście, tak że w razie niebezpieczeństwa i ciemności nie sposób było je odnaleźć. Niedostateczna wentylacya sprawiała, że dym, wynikający z pożaru, musiał sprowadzić natychmiastową niemal śmierć. Wagony, tunele i stacye nie posiadały żadnego oświetlenia niezależnego od elektryczności, tak że w razie przerwania prądu zalegała najzupełniejsza ciemność, przy której naturalnie nie trudno o wypadki śmiertelne. Zniesiono nawet dla oszczędności pierwotnie zaprowadzone lampki i świece w wagonach. Personel nie był wyuczony, jak należy ratować w razie zapalenia się motoru, lecz jedynie stosowano się do instrukcyi, aby pędzić lotem błyskawicy do stacyi głównej. Motorów zniszczonych i wadliwych—pomimo uwag maszynistów—nie usuwano z użycia. Słowem myślano przedewszystkiem o robieniu jak największych oszczędności, ku zbogaceniu akcyonaryuszów a wbrew interesom pracowników i bezpieczeństwa publiczności. Katastrofa ostatnia musiała położyć kres tej ohydnej eksploatacyi; sądy, władze, Izba i Rada miejska powstają dziś przeciw niej, pociągają do odpowiedzialności i zniewalają do reform. Będzie musiała zapłacić odszkodowanie co najmniej 2 miliony fr., choć przez skąpstwo zaasekurowała się tylko w szwajcarskiem towarzystwie na 250,000 fr. Będzie musiała oświetlić odpowiednio pociągi i stacye, zabezpieczyć motory, wagony i szyny, urządzić wentylacyę, wyjścia podwójne itp. Nie uda się już kompanii obejść prawa, kontraktu i regulaminu, bo czuwać będzie nad nią pilnie wyższa po nad Izby i sądy władza, a tą jest publiczność, korzystająca z Métropolitain, idąca dziś ręka w rękę z niższymi jej pracownikami.

Przed kilku dniami odbyło się w Giełdzie pracy wielkie zebranie publiczne przy udziale 3 tysięcy osób. Stawiono pod pręgierz kompanię Métropolitain i jej zarząd. Przemawiali robotnicy kolejowi, radcy miejscy, delegaci syndykatów, lekarze kolei metropolitalnej itp. Wszyscy występowali w obronie oskarżonego przez kompanię wattmana Chauvina, a wytaczali cały szereg udowodnionych zarzutów przeciw dyrekcyi kolejowej. Jednogłośnie zawotowano porządek dzienny, w którym wyraźnie zebranie piętnuje kompanię za świadome puszczanie w ruch pociągów uszkodzonych, pomimo ostrzeżeń maszynistów oraz za ciągłe relegowanie doświadczonych pracowników w celu zastąpienia ich jednostkami mniej wymagającemi i mniej uświadomionemi. Żąda ono jednocześnie od władz zerwania kontraktu z kompanią, która nie umiała i nie chciała zabezpieczyć publiczności od wypadków i śmierci, oraz łamała niejednokrotnie umowę.

Dopiero teraz, kiedy sami pracownicy i zainteresowana ludność wystąpiła przeciw niesłychanej eksploatacyi kompanii Métropolitain, można się spodziewać, że wkrótce paryżanie będą mogli spokojnie korzystać z podziemnej kolei elektrycznej, bez narażania swego zdrowia i życia.

Dr. Józef Zieliński.

Inspekcya mieszkań.

We całych Niemczech stoją różne kwestye polityki socyalnej ciągle na porządku dziennym; publiczność czytająca i myśląca, działacze polityczni wszystkich stronnictw, ciągle się niemi zajmują. W ostatnich czasach, obok spraw takich, jak skrócenie prawne dnia roboczego kobiet do godzin 10, za którem w ankiecie, urządzonej przez ministeryum pruskie, wypowiedzieli się już prawie wszyscy inspektorowie fabryczni; jak rozszerzenie prawodawstwa ochronnego pracy, a szczególniej ścisłego dozoru hygienicznego, na rzemiosła, umocnienie prawa koalicyi itp., wysuwa się coraz bardziej naprzód kwestya mieszkaniowa. Zajmują się nią zjazdy uczonych i zjazdy stronnictw politycznych, rządy państw i zarządy miejskie. W ciągu ostatnich miesięcy ważny krok na drodze ku jej rozwiązaniu postawiło miasto Sztutgart, stolica królestwa Wirtemberskiego.

Rada gminna tego miasta utworzyła mianowicie specyalny *urząd mieszkaniowy*. Czynności tego urzędu opierają się na jednocześnie zaprowadzonym obowiązku meldowania mieszkań, z jednej strony przez oddających, z drugiej — przez biorących je w najem. Każdy właściciel domu albo wogóle ten, kto w kontrakcie najemnym jest bezpośrednio stroną ofiarującą, obowiązany jest w przeciągu dni ośmiu zameldować urzędowi mieszkaniowemu wszelkie otwierające się mieszkanie, czy to wskutek zapowiedzi wyprowadzenia się dotychczasowych lokatorów, czy zbudowanie nowego domu itd. W tym celu wypełnia kartę — formularz, wymieniając adres, ilość pokoi, cenę, termin itd. Z drugiej strony każdy wprowadzający się lokator musi mieszkanie swe zameldować w ciągu 3 dni, i na nim ciąży obowiązek wymienienia w formularzu ilości osób, mających wprowadzić się do danego mieszkania, oraz zawiadomienia urzędu, czy zamierza przyjmować sublokatorów, ilu i do ilu pokojów. Karty te przesyła się bezpłatnie pocztą.

Na tej podstawie urząd mieszkaniowy pełni trzy swoje zadania. Przedewszystkiem, prowadzi i ogłasza codzień dla wygody publiczności spis wolnych mieszkań do wynajęcia. Jeżeli jednak właściciel domu zastrzeże sobie, żeby mieszkania albo ceny jego nie ogłoszono, to woli jego staje się zadość, oczywiście jednak ogromna większość korzysta z tych bezpłatnych ogłoszeń. Powtóre, urząd mieszkaniowy opracowywa i ogłasza co miesiąc i co rok statystykę mieszkaniową, dającą pojęcie o stanie tego rynku, stosunku zaofiarowania do popytu, o cenach, przyczem mieszkania klasyfikowane są podług kategoryj i możliwą się staje charakterystyka przeciętna każdej z tych kategoryj nietylko co do ceny ale i położenia, wysokości, wygód, stałości lokatorów itd. Statystyka taka jest oczywiście niezbędną podstawą do sądzenia o stanie kwestyi i obmyślania reform.

Wreszcie najważniejszym rezultatem tych środków jest umożliwienie systematycznej inspekcyi mieszkań. Na podstawie danych o ilości pokojów i ilości osób w mieszkaniu, których kontrola jest już do pewnego stopnia załatwiona przez podwójną deklaracyę: właściciela i lokatora, za których fałszowanie naturalnie oznaczone są kary, urząd przedewszystkiem jest w możności wydzielić z masy takie mieszkania, których inspekcya oczywiście jest niepotrzebna. Względem reszty urząd, złożony tylko z dyrektora i dwóch pomocników, ucieka się do pomocy obywateli. Otrzymują oni nazwę „opiekunów mieszkań“ (Wohnungspfleger) i pełnią swe funkcye honorowo. W tym celu miasto, choć niewielkie, podzielone zostało na 210 rewirów. Zwiedzają oni mieszkania i zdają sprawozdanie urzędowi mieszkaniowemu, który, po zasięgnięciu w razie potrzeby opinii lekarza albo technika miejskiego, wydaje odpowiednie rozporządzenie — od zwykłych rad i wskazówek aż do usunięcia lokatorów.

W przyszłości projektowane jest rozszerzenie czynności urzędu mieszkaniowego w ten sposób, żeby udzielał on wszelkiego rodzaju porad i informacyj prawniczych i administracyjnych w sprawach mieszkaniowych, a nawet niektórzy chcieliby, żeby zdobywszy sobie zaufanie mieszkańców, stał się sądem polubownym do rozstrzygania zatargów, nieporozumień między lokatorami a kamienicznikami.

Urzędy podobne — chociaż nie z tak szerokim zakresem działania —otrzyma wkrótce znaczna większość miast niemieckich, a mianowicie — wszystkie miasta pruskie. Pruskie ministeryum spraw wewnętrznych opracowało projekt nowego prawa krajowego o stosunkach mieszkaniowych, które już zostało rozesłane do prezesów rejencyj w celu zasięgnięcia ich opinii. Celem głównym nowego prawa jest ożywienie i poparcie ruchu w kierunku budowania zdrowych i tanich mieszkań dla warstw niezamożnych środkami przewidzianymi — baczniejsze wglądanie w sposób zabudowywania się miast, tak aby zostawało dość miejsca na skwery i ogrody, oraz ulgi podatkowe dla przedsiebiorstw, ograniczających ustawowo swój czysty dochód do pewnego *maximum* (4%), a poświęcających kapitały budowaniu tanich mieszkań robotniczych. Ale autorzy projektu są również bardzo słusznie przekonani, że do powstawania odpowiednich mieszkań znakomicie się przyczyni surowy dozór nad dotychczasowemi nieodpowiedniemi. Wydane będą ogólne przepisy w tym względzie dla wszystkich miast po nad 10,000 mieszkańców, stawiające cały szereg wymagań co do hygieny i bezpieczeństwa. Między innemi projekt mówi o tem, że w mieszkaniu musi przypadać najmniej dziesięć metrów sześciennych przestrzeni i 4 metry powierzchni na każdego mieszkańca, spędzającego w niem noc, bez względu na jego wiek, dalej, musi być tyle izb, żeby osoby starsze nad lat 14, mogły spać osobno, podzielone podług płci, żeby każda para małżeńska miała również osobną sypialnię wraz z dziećmi, poniżej lat 14; dopuszcza się podział na izby za pomocą przepierzeń stałych, nie niższych od 2 metrów. Te same wymagania, tylko jeszcze bezwzględniej, stosowane być mają do lokalów, przeznaczonych na mieszkania i sypialnie dla służby, czeladzi, sublokatorów, wynajmujących „kąty“ do spania itd. Jeżeli przepisy te zostaną ściśle wykonane, to istotnie postawiony zostanie poważny krok na drodze kultury. Co za przewrót, jeżeli rzeczywiście znikną przymusowo lokale, w których ludzie siedzą, napchani jak śledzie w beczce, wśród brudu, zaduchu i wilgoci, ludzie, nieraz obcy, nie krewni, różnej płci! Byle tylko przedsiebiorstwa budowlane wydążyły z budowaniem nowych, tanich a odpowiednich mieszkań!.. Uniemożliwienie — albo poprawa — starych ma za warunek ścisłą i sprężystą inspekcyę, to też będzie ona głównem zadaniem urzędów mieszkaniowych, które obowiązkowo muszą zaprowadzić miasta, mające więcej niż 100,000 ludności; mniejsze mogą się składać po kilka na założenie jednego urzędu.

Nasuwa się tu uwaga natury ogólnej: jeśli wciąż jeszcze prawdziwem jest znane zdanie, że rządy są organizacyami panowania klasy nad klasą, to jednak w coraz większej, choć ciągle jeszcze niewielkiej mierze, stają się one organizacyami kultury społecznej.

Erka.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Klęska.

Z odpowiedzi na kwestyonaryusz, rozesłany przez warsz. Tow. rolnicze, wynika, że ze wszystkich powiatów gubernii najwięcej ucierpiał pow. Łowicki. Wskutek wylewu Bzury na znacznej przestrzeni uległo zniszczeniu 3,000 morg. zboża, 8,000 mor. łąk, 4,000 mor. okopowych i 300 m. żyta. Własność większa i mniejsza ucierpiały ogromnie: bez ulg podatkowych i bez pomocy na większą skalę żadną miarą się nie obejdzie. Brak kartofli grozi głodem ludziom, brak paszy dla bydła—utratą inwentarza.

W pow. Ciechanowskim deszcze i wylewy rzek poczyniły ogromne szkody, wszędzie brak paszy, wszędzie kartofle źle się zapowiadają — dla ludzi i dla zwierząt wstaje groźne widmo niedostatku pożywienia. W innych powiatach stan rzeczy stosunkowo nie tak rozpaczliwie się przedstawia, prócz powiatu Nieszawskiego, gdzie także obawiają się, że zabraknie pożywienia i dla ludzi i dla inwentarza. Wszędzie jednak siana przepadły.

Pokutnik.

Pisma warszawskie ogłaszają za *Przeglądem Katolickim* następujący list pokutny:

„Niżej podpisany przeprasza biskupa swojego, Jego Ekscelencyę hr. Szembeka, za nieposłuszeństwo i uważa wystąpienie swoje literackie w sprawie krytykowania biskupa literata za nierozważne i gorszące.

Gdyby władza kościelna życzyła sobie, abym co więcej napisał, gotów jestem wypełnić wszystkie jej zlecenia.

Oświadczam przytem, że jak byłem tak jestem wiernym synem Kościoła rzymsko-katolickiego.

Ks. Teofil Kowalski.
Magister Teologii, doktór prawa, dawny redaktor *Śpiewu kościelnego*, kapłan dyec. płockiej."

Szczerość w takich dokumentach jest bardzo rzadka, zwykle bowiem są one pisane pod jakąś lufą, która nie pozostawia wyboru, więc i po za tym źle powiadomiona wyobraźnia gotowa dostrzedz blade oblicze męczennika, którego potężna siła złamała i włożyła mu w usta gwałtem słowa wymuszonej pokory. W tym wypadku wszakże, o ile nam wiadomo, tak nie jest. Przynajmniej nie zachodzi tu żadna tragedya. Ks. Kowalski zyskał pozory śmiałego ducha, w rzeczywistości zaś był tylko swawolnikiem, nadającym swobodzie myśli i czynów specyalne znaczenie wygody osobistej, niemającej nic wspólnego ani z liberalizmem, ani z martyrologią. To też gdy go władza biskupia przyprowadziła do zewnętrznego porządku, nikt w nim nie będzie sławił zdruzgotanego bohatera i opłakiwał uciśnionej ofiary.

Uniwersytety chłopskie.

Szczęśliwa Skandynawia zaczęła już rozjaśniać tajemnicę, którą w swem łonie noszą prawie wszystkie społeczeństwa europejskie, mające ciemny lud. Istota i rozmiary sił duchowych tej śpiącej, ciemnej, bezwładnej masy pozostaje dla nich zagadką, którą rozwiązuje dopiero do najniższych głębin sięgająca oświata. A rozwiązanie to nietylko zadawala ciekawość, lecz bardzo często, w narodach jednostronnie rozwiniętych i wyczerpanych, stanowi o ich życiu i śmierci. Jeżeli bowiem spadkobiercy i kontynuatorowie cywilizacyi szlachecko-mieszczańskiej okażą się świeżą, dzielną i zdrową potęgą, ratują społeczeństwo od upadku i śmierci. Skandynawia powołała już ostatnie rezerwy czynników swej kultury, dała bowiem chłopstwu wszelkie szkoły — nawet uniwersytety. Ciekawe to są niezmiernie instytucye i ciekawe wyniki ich działalności. „Nie odrywając chłopa od roli — mówi przewodnik takiego zakładu, Z. Kowalewskij, w świeżo wydanej po polsku broszurze, jako pierwszy zeszyt „Biblioteki spółczesnej"—nie tworząc z niego maszyny zdolnej do tego lub owego fachu, starają się one obudzić w nim poczucie godności własnej, dać mu chociażby ogólne pojęcie o skarbach, nagromadzonych przez ludzkość całą w dziedzinie nauk i sztuk i uprzystępnić mu te rozkosze umysłowe, które dotychczas były wyłącznym przywilejem wykształconych warstw społecznych." I to im zupełnie się udaje. Chłopi z zapałem biegną do swych „uniwersytetów" i wynoszą z nich obfite plony umysłowe.

Zapewne, są to niedościgniona dla nas wzory, ale wzory zawsze przed oczyma mieć trzeba, jeśli się chce mieć cel określony dla swych dążeń.

Kulisi.

Na pomysł prawdziwie godny wpadł jakiś agent Dalekiego Wschodu, proponując sprowadzenie kulisów, jako siły roboczej do naszego kraju. Gdyby ten projekt doszedł do skutku, gdyby robotnicy zostali sprowadzeni,a rolnicy i fabrykanci nasi zwabieni tanością najemnika zapragnęli stale posiłkować się kulisami, na biedny nasz kraj spadłoby poprostu nieszczęście o skutkach nieobliczalnych. Biała rasa na rynku pracy nie może wytrzymać współzawodnictwa z rasą żółtą, rzecz to powszechnie znana wszędzie, gdzie się biali z Chińczykami zetknęli. To też nic dziwnego, że przeciw imigracyi Chińczyków istnieją wyjątkowe ustawodawstwa w najbardziej cywilizowanych społeczeństwach. Groźbę najścia chińskiego zrozumiały od dawna Stany Zjednoczone Am. Półn., które w swej nad wyraz humanitarnej konstytucyi uczyniły szczerbę i wyjątek jedynie dla rasy żółtej. Ze wszystkich narodów tylko Chińczyk nie ma prawa wstępu w granice Stanów i tylko Chińczyk nie może zostać obywatelem Stanów. Mylnie twierdzi całkiem fałszywie poinformowany kronikarz czy fejletonista *Gazety Polskiej*, że „Ameryka pochłonęła już miliony kulisów," gdyż nie są oni wpuszczani do Ameryki Północnej (wyjątek stanowią kupcy, którzy mają wstęp dozwolony, ale w ograniczonej ilości i to bez kobiet), a do Ameryki Południowej jeszcze nie mają interesu się wdzierać. Parlament australski, widząc niebezpieczeństwo, grożące od żółtej rasy, pragnie zabronić Chińczykom wstępu do Australii; odpowiednia poprawka do konstytucyi, została w zeszłym roku uchwalona, lecz imperyalistyczna polityka ministra dla kolonij Chamberlaine'a, opiera się wprowadzeniu tej poprawki w obawie odwetu ze strony Chin i trudności handlowych dla Wielkiej Brytanii na Wschodzie. Lecz prędzej czy później poprawka przeprowadzoną zostanie, inaczej bowiem Australia „zżółknie" radykalnie w ciągu bardzo krótkiego przeciągu czasu. Jeżeli więc te potężne pod względem ekonomicznym i kulturalnym kraje zamorskie tak energicznie bronią się przed najazdem chińskim, jak ostrożnymi w tym razie należy być nam, tak słabym pod każdym względem i tak już na wielu punktach przez Niemców chociażby zagrożonym. Sprawa to tak ważna, że nie powinniśmy lekceważyć tych zakusów spekulacyjnych, które wszystkim bez wyjątku muszą ostatecznie wyjść na złe. Wobec setek tysięcy biednego ludu, zagrożonego dziś nędzą i głodem i błagającego o pracę, jak o jałmużnę, tego rodzaju pomysłu mają charakter wprost zbrodniczy, i opinia publiczna winna je potępić z bezwzględną surowością. *W. S.*

Dobra myśl.

Istotnie dobrą myśl miał p. Gorajski, poruszając w *Gazecie Polskiej* sprawę „niewyzyskanego źródła dochodu dla instytucyj dobroczynnych;" dobrą podwójnie: raz dla tego, że jest istotnie praktyczna, bo dlaczegóżby jedynie Czerwony Krzyż umiał korzystać z koncesyi na apteki, a nie umiały tak np. niezmiernie potrzebne ambulatorya bezpłatne; a po drugie, że stawia kwestyę naszych instytucyj filantropijnych na jedynie racyonalnych, bo zarobkowych podstawach. Żebranina stała się u nas niestety bardzo poważną kategoryą ekonomiczną i podatkiem dla wielu kieszeni, nie zdolnych do ponoszenia znacznego ciężaru na cele użyteczności publicznej. Gdyby nasze instytucye dobroczynne postarały się o koncesye na nowe a niewątpliwie potrzebne apteki, to mogłyby poprawić swoje położenie bardzo znacznie. Że to jest możliwe dowodzi przytoczony przykład Czerwonego Krzyża, który z apteki w Mokotowie i drugiej na rogu ulicy Marszałkowskiej i Wspólnej (wydzierżawionej przez p. Filleborna), pobiera rocznie około 8,000 rb. czystego dochodu. Widzimy więc że sprawa warta zachodu i trudu a zysk pewny i wcale pokaźny.

BADANIA NAUKOWE.

Nasze prawa do zwierząt.

Stosunek nasz do zwierząt oparty jest na przeświadczeniu o istnieniu niezgłębionej przepaści pomiędzy światem zwierzęcym a człowiekiem. Instynkt zwierząt przeciwstawiamy rozumowi, ślepe uleganie potrzebom — wolnej woli człowieka. Stojąc na tym gruncie, przywłaszczamy sobie nad niemi prawo nieograniczone — prawo życia i śmierci, oraz znęcania się w imię naszej korzyści lub tylko przyjemności. Przyzwyczailiśmy się traktować zwierzęta, jako coś nieskończenie niższego, bezwzględnie nam podległego; że tu chodzi li tylko o przyzwyczajenie, a nie o przekonanie o słuszności naszego stosunku do zwierząt, świadczy fakt, że jeśli jakiś nowy sposób znęcania się, tortury, przychodzi z zewnątrz, z obcego kraju, jak np. walka byków, oburzenie nasze przeciw niemu nie ma granic i sprawa rozciągłości naszych praw podlega dyskusyi. A jednak ta przepaść między żyjącemi stworzeniami nie jest tak wielka, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Ludzie, którzy z zamiłowaniem badają życie zwierząt, którzy mieli sposobność bliżej w nie wejrzeć, tracą powoli wiarę w tę niedoścignioną wyższość człowieka, na której opiera się nasz stosunek do zwierząt. Wyjaśnienie dziwów, napotykanych w życiu tych ostatnich, jest niezbędne dla ściślejszego ograniczenia sfery naszych praw. Z tą sprawą wiąże się szereg zagadnień praktycznych. Posłuchajmy, jak oświetla tę sprawę i jakie wnioski wysnuwa przyrodnik francuski, Kamil Mélinand.

Przejawy instynktu zwierząt, które budzą w nas podziw swoją pewnością a przeciwstawiane są rozumowi człowieka, możemy podzielić na trzy grupy: dążność do zachowania jednostki, do zabezpieczenia małych i do utrwalenia gatunku.

Do pierwszej grupy należy instynkt samozachowawczy we właściwem tego słowa znaczeniu — zdumiewają sposoby, do jakich ucieka się zwierzę dla zdobycia sobie

pożywienia (siatka pająka), dla przechowania już zdobytego, dla uniknięcia grożącego mu niebezpieczeństwa, zmysł oryentacyjny (gołębie pocztowe, przewiezione w zamkniętym koszyku na odległość kilkuset wiorst, wracają do gołębnika), zmysł budowlany — wszystko to są rzeczy nie do wytłomaczenia.

W drugim rzędzie instynkt ma na celu zabezpieczenie małych; osy np. drążą w piasku długie galerye, gdzie każda z nich ma swoją komórkę, podobnie jak w ulu. A przy karmieniu małych osy uciekają się do następującego środka: ażeby przyniesione na pokarm robaczki nie pogniły, albo nie uciekły, ubezwładniają je uderzeniem żądła; ofiara ani żyje, ani jest martwa więc nie może ratować się ucieczką, ani też uledz rozkładowi.

Klasyczny przykład zmysłu społecznego, znajdujemy w roju pszczelnym. Ten zmysł, przejawiający się w wykonywanych przez niego pracach, ma dwie cechy charakterystyczne, pozornie wykluczające się wzajem: posuniętą do najwyższego stopnia pewność siebie, dokładność, a z drugiej strony zaślepienie, nieświadomość celu.

O doskonałości, niemal precyzyi świadczy budowa ula i rozkład komórek. Jeżeli chodzi o zaoszczędzenie miejsca, wosku i o przechowanie największej ilości miodu, to budowa ula nie pozostawia nic do życzenia. Z drugiej strony te same pszczoły, tak przezorne i pracowite, zdradzają niekiedy pewne zaślepienie, jak gdyby nie zdawały sobie wcale sprawy z tego co robią i do czego dążą. Jeżeli zrobić otwór w komórce, przez który miód ucieka, pszczoła niemniej będzie go dalej składała — myśl zatkania otworu lub zaniechania bezowocnej pracy nie przyjdzie jej wcale do głowy. Inny ciekawy przykład podaje Maeterlinck w „la vie des Abeilles". Jedność i solidarność, która panuje śród pszczół w ulu, znika, jeśli pszczoły są na zewnątrz ula. Pszczoła nie odwróci się od swej pracy, choćby nawet widziała towarzyszkę w niebezpieczeństwie.

Ogólne mniemanie, w myśl nauki religijnej, przyznaje człowiekowi duszę nieśmiertelną, odmawia jej zwierzęciu, stawiając te dwa światy na przeciwległych sobie krańcach. Tymczasem nauka transformistyczna, zadawszy cios idei odrębności człowieka od świata zwierzęcego, zbliżyła do niego wyższe gatunki ssaków, oddalając owady, śród których spotykamy właśnie najciekawsze przejawy instynktu. Należy jednak, według Mélinand'a, zmniejszyć tę odległość krańcowych szczebli żyjącej drabiny, ponieważ praca owadów przypomina rażąco naszą pracę; nie twierdzimy, że zwierzęta działają z rozmysłem, obliczeniem, nie stawiają one swych budowli, jak architekt nie rozumują, jak matematyk — ale przecież ludzkość nie składa się z samych budowniczych, inżynierów i techników, lecz z szarej masy robotników, którzy spełniają swe czynności machinalnie, nie zastanawiając się, nie uświadamiając ich sobie; nawet śród ludzi inteligentnych, myślących trzy czwarte czynności dziennych to tylko mechaniczne wykonywanie pewnych ruchów. I w tym względzie praca owadów przypomina pracę naszą. Pewność instynktu to nasza rutyna: gimnastyk, pianista dochodzą do takiej wprawy, że wykonywają bezwiednie pewne ruchy z najwyższą, nieomylną dokładnością, człowiek, który zna ortografię, zupełnie nieświadomie pisze według jej zasad, stosując się do nich nawet wtedy, kiedy nie zachodzi już tego potrzeba, np. przy stenografii. Podobnie ptak, który buduje gniazda, nie uświadamiając sobie poszczególnych momentów, przypomina robotnika, spełniającego machinalnie swoją czynność.

Zarzut, że instynkt u zwierząt jest przyrodzony, a wprawa u człowieka nabyta, że ludzie muszą uczyć się pracować, a zwierzęta — nie, łatwo usunąć można po bliższem zastanowieniu się, jest to bowiem pojęcie niczem nieuzasadnione, jak wiele innych, jakie uformowaliśmy sobie o świecie zwierzęcym i których dowieść nie bylibyśmy w stanie. — Natomiast większe zaufanie wzbudzić może przypuszczenie, oparte na wielu spostrzeżeniach, że zwierzęta, tak jak i my, muszą przechodzić praktykę, wzorując się na starszych i stopniowo tylko dochodzą do doskonałości, będącej przedmiotem naszego podziwu. To, co jest domysłem, ale domysłem logicznym, jeżeli mówimy o owadach, staje się widocznym pewnikiem, jeżeli zwrócimy się do ptaków. Przyglądając się im, spostrzegamy, że stare uczą pisklęta fruwać, budować gniazda, zdobywać pożywienie itd. Tak tedy zmysł zwierzęcy nie jest bezwzględnie i wyłącznie dziedziczny, lecz doskonalił się on i doskonali stopniowo za pomocą przenoszenia wiadomości od starych do młodych i naśladowania, jak u ludzi; tylko u człowieka częściej spotykamy przebłyski rozumu, wynalazczości. Obok robotnika, który wykonywa swoją czynność machinalnie, stoi matematyk, inżynier, który rozważa, oblicza i jednym genialnym wynalazkiem odkrywa ludzkości nowe pole pracy, nowy środek do ułatwienia życia, do osiągnięcia tych samych rezultatów kosztem mniejszych wysiłków. Taki przebłysk twórczości, kombinacyi, rzadziej spotykamy u zwierząt, choć, wbrew ustalonemu przekonaniu, że zwierzęta nie znają postępu, nie zmieniają swych sposobów pracy, nie rozwiązują trudności, że praca ich jednem słowem nie wychodzi po za ramki form zakrzepłych, twierdzimy *à posteriori*, że możliwość doskonalenia się u zwierząt nie jest wykluczona. Niektóre gatunki ptaków w Ameryce używają do budowy gniazd włosia końskiego, a że koń nie był znany na drugiej półkuli przed Kolumbem, stąd wysnuwano wniosek, że tu nastąpiło pewne udoskonalenie, które musiała podyktować potrzeba. Widzimy u pszczół, że budowa komórek nie wszędzie jest jednakowa, lecz przeciwnie nadzwyczaj rozmaita, stosownie do obfitości materyału budowlanego — wosku. O zmyślności pszczół świadczy następujący fakt. Kiedy w Szwajcaryi pokazała się plaga ulów — zmierzchnik, motyl z trupią główką, wielce łakomy na miód, który zakradał się w nocy do ula — to zanim hodowca wynalazł środek walki ze szkodnikiem, pszczoły pobudowały z wosku prawdziwe barykady, taki labirynt ciasnych i krętych wejść, że zmierzchnik przestał być groźnym. Kiedy plaga zniknęła, pszczoły niezwłocznie usunęły barykady.

Zresztą, gdy mówimy o zastygłych formach życia zwierząt, mamy zaraz na myśli niezdolność ich do dalszego doskonalenia się. Czy tak aby jest w rzeczywistości? Czy ta niezmienność form u zwierząt nie jest raczej dowodem najwyższej doskonałości przystosowania się do warunków zewnętrznych. Jeżeli maszynę, czy jakie inne narzędzie doprowadzimy do doskonałości, a tego w wielu gałęziach pracy mamy przykłady, dalej zmieniać ich chyba nie będziemy. Ponieważ w świecie zewnętrznym są pewne granice, których przekroczyć nie jesteśmy w stanie, więc niezmienność, stałość form raczej za ideał, niż za okres przejściowy uważać należy. Autor, gdyby go nie zatrzymywała obawa przed paradoksem, pragnąłby sformułować swoje zdanie w tej sprawie tak:

„Zwierzęta nie zmieniają się i w tem są od nas wyższe." Prawdopodobnie przechodziły one stadyum doskonalenia się, ale doszedłszy do szczytu, nie widzą kierunku, w którymby mogły poprowadzić swą pracę. Za decydującą linię demarkacyjną między człowiekiem a światem zwierzęcym przyjmujemy mowę. Lecz zważywszy, jak nędznym jest jeszcze ten sposób porozumiewania się u niektórych plemion (Fidżi), jak mało podobnym do bogatej w dźwięki mowy Europejczyka, kto zaręczy, że zwierzęta nie mają łącznika duchowego równoznacznego mowie ludzkiej? Trzeba tylko wejrzeć bliżej w ich życie, żeby przekonać się o fałszywości granicy, jaką ma być mowa. Badacze jednomyślnie zeznają, że owady podają sobie wiadomości za pomocą rożków. Wielokrotne mozolne spostrzeżenia stwierdziły, że owady porozumiewają się doskonale. Jedno z nich podaje Maeterlinck: zostawił on na oknie kilka kropel miodu i pszczołę, która odkryła to miejsce, naznaczył plamką na szyjce; po chwili naznaczona pszczoła wróciła z dwiema lub trzema towarzyszkami. M. schwytał te ostatnie, wtedy pierwsza podawała swą wiadomość dalej — i po pewnym przeciągu czasu zebrało się na oknie kilkanaście pszczół. Podobnie zauważono, że wszelka ważniejsza wiadomość, czy to o śmierci królowej, czy też o życiu wroga, w lot rozbiega się po całym ulu.

Wobec powyższych spostrzeżeń odległość, dzieląca świat zwierzęcy od człowieka, nawet w niższych jego gatunkach, wydać się nam musi znacznie krótszą. Instynkt, aczkolwiek dziedziczny, doskonali się w podobny sposób, jak u ludzi, tj. przygotowaniem do pracy — zwierzęta w równej mierze mogą doskonalić sposoby pracy, tylko rzadsze są u nich przejawy twórczej pracy jednostek — wobec czego przyrównać je można do wykwalifikowanych robotników, którzy doszli do szczytu sprawności i dalej się już nie posuwają. Jeżeli ustalimy fakt pokrewieństwa pracy zwierząt i przeciętnego człowieka, to wyjaśni się nam zagadka tych dziwów, napotykanych śród zwierząt. Jak u ludzi wielkie doskonałości zawdzięczają istnienie nie jednostkom (dlatego, że w dzisiejszej lokomotywie, maszynie do szycia, zegarku trudno byłoby dopatrzeć się pierwowzoru wynalazku), lecz wspólnej pracy tysięcy i milionów, tak i w świecie zwierząt praca doskonaliła się, aż doszła do tego stanu nieomylnej dokładności, w jakiej ją obserwujemy.

Przechodzimy teraz do praw, jakie przyznajemy sobie nad zwierzętami. „Życie ich, cierpienie za nic mamy z chwilą, gdy w grę wchodzi korzyść lub tylko zadowolenie człowieka" — na takiej mniej więcej zasadzie opiera się nasz stosunek do zwierząt. Osoby wrażliwe burzą się przeciwko takiemu porządkowi rzeczy, pragnęłyby wziąć w obronę zwierzęta — ale te ich uczucia uważane są przez ogół za zbytek wspaniałomyślności — zresztą, opieka rozciąga się tylko na zwierzęta domowe, tj. te, które nam są pomocne w pracy, a inne nie obchodzą nas wcale. Jeżeli uznamy słuszność wywodów Mélinand'a, jeżeli przypuścimy na chwilę, że świat zwierzęcy bliższy nam jest, niż to na pierwszy rzut oka się zdaje, to równocześnie musimy zapytać, co należy się od nas zwierzętom?

Litość chyba nie wystarczy, chodzi o coś więcej, o sprawiedliwość, o słuszność naszego postępowania. Wszelkie cierpienia, im zadawane, a niepodyktowane przez nieubłaganą konieczność warunków fizycznych, będą krzywdą, przestępstwem względem zwierząt. Dziwnie brzmieć musi głos, dopominający się o prawa dla zwierząt w czasach, kiedy jednostka ludzka jest jeszcze w wielu wypadkach poniewieraną i pozbawioną obrony. Bezwątpienia, sprawę zwierząt należy podporządkować sprawie człowieka, przedewszystkiem trzeba myśleć o poszanowaniu praw bliźniego, a potem dopiero mówić o prawach zwierząt, lecz ponieważ niektóre okrucieństwa obrażają nasz zmysł moralny, a my nie chcemy zastanawiać się nad naszem postępowaniem — więc należy skierować uwagę na nie i wyświetlić związane z tą sprawą zagadnienia praktyczne. Przedewszystkiem

jarstwo. Z chwilą, kiedy fizyologia orzeknie (a wiele już powag w świecie nauki skłania się ku temu mniemaniu), że bez pokarmów mięsnych człowiek żyć może, wtedy odżywianie się mięsem stanie się występkiem, a rzeźnie z ich udoskonalonymi sposobami mordowania zwierząt będą zniesione. W tej sprawie musimy zatrzymać się do czasu wypowiedzenia się nauki.

Dalej, wiwisekcye należy ograniczyć, ponieważ wielu uczonych kwestyonuje ich niezbędność. Jeżeli są one jednak nieuniknione dla walki z trapiącemi ludzkość chorobami, to przynajmniej należy unikać 1) popełniania przy nich zgoła bezcelowych okrucieństw, jak to się często dzieje; 2) żądać, aby robiono je tylko pod chloroformem.

Co się tyczy rozrywek, mających na celu mordowanie zwierząt, jak polowania, walki byków, kogutów itp., należy je bezwzględnie potępić, bowiem obniżają poziom naszego poczucia moralnego. Na wstępie zauważyliśmy, że rażą nas tylko okrucieństwa egzotyczne, że do swojskich przywykliśmy. W głębi serca przyznać musimy, że tak te, jak tamte potępione być winny.

Wreszcie cieszyć się należy z postępów sztuki, mającej na celu zastąpienie siły pociągowej zwierząt parą, elektrycznością, benzyną. Jesteśmy przecież codziennymi świadkami tych cierpień, jakim podlegają zwierzęta, a usunąć je tylko możemy, używając siły mechanicznej. Od początku dziejów ludzkość miała zawsze istoty, które przygniatała ogromem swych praw — niewolnictwo, pańszczyzna — dziś proletaryat rolny. Ci wszyscy walczyli lub walczą o swoje prawa. Pozostały zwierzęta, nad któremi mamy prawa życia, śmierci i znęcania się — miejmy nadzieję, że i w tej sprawie, acz nieprędko, nastąpi zwrot ku lepszemu.

Z.

NOTATKI NAUKOWE.

— Wyszedł piąty i ostatni tom obszernego dzieła Karola Booth „Życie i praca w Londynie“ (*Life and Labour in London*, Macmillan et Comp.), w którem autor daje obraz głębokich zmian, jakim natura ludzka podlega w tak wielkich zbiorowiskach, jak miasta i wykazuje konieczność natychmiastowego przeciwdziałania licznym chorobom społecznym, grożącym stoczeniem zbiorowemu organizmowi ludzkiemu. „Ludzie w gromadach liczniejszych rychło stają się brutalami — powiada on — ci-sami nawet, którzy w nielicznych grupach są łagodni, bo się wszyscy znają.“ Życie rodzinne pod naciskiem sił zewnętrznych znika zupełnie z tych wielkich, przez setki ludzi zamieszkanych domów w biednych dzielnicach Londynu — wylewa się na ulice, rojące się od tłumów. Tu żyją i wychowują się dzieci pod tchnieniem najgorszej atmosfery. Rozmowy ich i wyrażenia przerażają cynizmem zepsucia. Brud i niechlujstwo uderzają na każdym kroku. Ściany w mieszkaniach, łóżka i sprzęty roją się od robactwa, które podobno jest plagą całego Londynu, nie wyjmując i najbogatszych jego dzielnic. Pijaństwo, według K. Bootha, zmniejsza się, ale pragnienie wzrasta szczególniej wśród kobiet, skutkiem czego zwiększa się przeciętne spożycie trunków na głowę. „Woń szynku unosi się nad wszystkiem — mówi on.—Wszelka praca jest beznadziejną, dopóki nie zostanie zaprowadzona kontrola nad sprzedażą napojów wyskokowych.“ Wśród tych tłumów rozwija się coraz silniej umiłowanie rozrywek: wycieczek za miasto, tanich widowisk, koncertów na otwartem powietrzu. Obok tego krzewi się olbrzymio gra w karty, w totalizatora, wszelkiego rodzaju hazard uliczny, a jednocześnie zanika stary zwyczaj angielski święcenia niedzieli i zmniejsza się gwałtownie poczucie religijne wśród warstw ludności roboczej.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura niemiecka.

Powieść robotnika fabrycznego.

Literatura ma swoich kapłanów i swe kozły ofiarne — biedne istoty, które wyprowadza na widownię reklama. Co kilka miesięcy wywleka ona nową ofiarę literatury, odkrywa nowego geniusza. Ogół dowiaduje się o „fenomenalnym“ dramacie najautentyczniejszej szwaczki berlińskiej, o „sensacyjnych“ pamiętnikach szynkarki czy szansonistki paryskiej, o „epokowej“ powieści pastora lub nauczyciela z cichej wioski szwajcarskiej.

Niedawno temu powstał rozgwar około osoby równie egzotycznej. Lubownikom zjawisk ekscentrycznych przedłożono powieść zwykłego robotnika fabrycznego z Brooklynu*). Czytałem ją z początku jednym tchem, przerzucając stronicę za stronicą, lecz im głębiej w nią wnikałem, tem powolniej posuwałem się naprzód. Nie mogłem rozstawać się z nią, wciąż do niej wracałem, by znajdywać coraz nowe, wprzódy nieodkryte zalety. Bo też książka ta czyni wrażenie skarbu długo ukrywanego, oślepiającego swem bogactwem— a autor wrażenie czarodzieja, któremu wszystko pod ręką zamienia się w złoto. Przypomina się opowieść o nędzarzu nagle wzbogaconym, który rozrzuca niepotrzebnie majątek wskutek braku właściwego kryteryum swych bogactw. Nasz robotnik-powieściopisarz jest takim bogaczem. Rozrzutność jego nie ma granic. Dla „szanującego się“ pisarza zasoby duchowe, przejawione w tej jednej książce, starczyłyby na całe życie — tu zamknięte sa na dwustu stronicach. W jednym z listów do Wilbrandta, który napisał do tej powieści gorącą przedmowę, określa Bertsch (bo tak nazywa się nasz autor) genezę swego dzieła: „Doznaję niewypowiedzianych rozkoszy, mogąc duszą wylecieć na zewnątrz.“ To, co ten niewykształcony i całe życie fizycznie pracujący człowiek napisał, nie jest „literaturą,“ ani dziełem artysty, świadomego swej mocy twórczej, nie jest dziełem sztuki, dla sztuki powstałem—to są wywnętrzania się jednostki, w której życie nagromadziło takie materyały myślowe i uczuciowe, że ujęcie ich w formę książki stało się wyzwoleniem.

Wartość powieści Bertscha nie polega na jej treści lub donosłości idei w niej zawartej. Fabuła jest nadzwyczaj chuda i mało interesująca. Rozczarowałby się tą książką ten, ktoby w niej szukał nowych myśli, rozwiązania zagadnień i problematów doniosłych. Jej wartość społeczną trzeba z niej samej wysnuć—autor tu wcale nie pomaga.

W kilku słowach daje się zawrzeć jej treść. Tomaszowi Prattowi, pracującemu w jednej z fabryk nowojorskich, okaleczyła maszyna lewą rękę. Wskutek amputacyi staje się zupełnie niezdolnym do pracy. Głód poczyna nawiedzać biedne jego domostwo, tembardziej, że żona, schorzała i wyczerpana szwaczka, niewiele zarobku przysparza. W gorszych jeszcze warunkach znajduje się siostra Tomasza. Za męża ma nałogowego pijaka, istotę moralnie przegniłą — sześcioro dzieci nieletnich utrzymuje jedynie dzięki przypadkowi. Życie takie z dnia na dzień, bez pewności jutra, zaostrza zmysł krytyczny tych osób. Siostra rzuca projekt: a gdyby tak brat opisał ich życie— prosto, niewyszukanie, bez stylizacyi. Tomasz zabiera się do pracy, rękopis rośnie mu pod ręką — wkrótce staje się człowiekiem sławnym i majętnym. Książka ma bajeczne powodzenie. Tymczasem umiera siostra na suchoty, a Tomasz przygarnia do siebie dzieci, których ojciec coraz głębiej stacza się w kałużę...

Tyle wszystkiego. Zamało nawet na notatkę dziennikarską. Lecz — jak już zaznaczyłem — nie w treści siła książki. Nie tkwi ona również w oryginalności formy. Przeciwnie, kompozycya jest w wysokim stopniu zaniedbana, razi wprost niezaradnością autora „Rodzeństwa.“

A przecież, mimo te wady, książka tego robotnika fabrycznego z Brooklynu posiada wartość pierwszorzędną — wartość prawdy. Z kłamliwej atmosfery naszego życia przedziera się naga, przerażająca swą rzeczywistością. Dlatego działa tak impulsywnie i bezpośrednio. Możnaby ją nazwać klasycznym dokumentem ludzkiej nędzy, ludzkiego oporu i ludzkiej dobroci. Te trzy pierwiastki porozmieszczane są przepięknie, bez przymieszek „literackich,“ bez ustępstw na rzecz efektu. To daje książce wartość obrazu kulturalnego. W niej skupiają się ogniwa, których całokształtem jest życie samo; niema tu ani śladu kombinacyj dowolnych — to, co tu jest, jest również takiem w rzeczywistości. A jak ponura i straszna ta rzeczywistość! Jest w książce Bertscha kartka, którą się czyta z zapartym oddechem i gorączkowymi wypiekami na twarzy. Ogrom wrażeń, niby lawina niepohamowana, stacza się na duszę czytelnika.. Może sądzicie, że to są opisy „rzeczy strasznych,“ okropności, morderstw, wojny? Nic z tego. To tylko opis życia wielkomiejskiego. Tomasz Pratt opowiada o wrażeniu, jakiego doznał, przechadzając się po Nowym-Yorku. Początek tego opisu zasługuje w całości na powtórzenie:

„Naliczyłem na jednym zlocie ulic cztery szynkownie; wszystkie były na ościeź otwarte. Naprzeciw znajdował się kościół. „Wnijdźcie...“— widniał napis na zaryglowanych drzwiach. Z szynków wyrzucano pijaków, ale do kościoła ich nie wpuszczano: był szczelnie zamknięty.

Następnie poszedłem do dzielnicy bogaczów, gdzie w każdym pałacu króluje co najmniej czterech milionerów i marznie co najmniej czterech biednych zamiataczy ulic.

Następnie zwróciłem się ku północnej stronie miasta; tu synowie dawnej rzeczypospolitej rzymskiej czyszczą buty bankierów amerykańskich — zamiast czyścić im ręce i sumienie. Obok znajduje się łuk tryumfalny Deweya. Jakoś głupio z tym patryotyzmem w gipsie. Biedny Deweyu, przed rokiem byłeś silniejszy od Chrystusa samego — teraz jesteś bohaterem na pensyi; ale mnie najpierw pochowają a potem zapomną, a ciebie najpierw zapomną, a potem dopiero pochowają.

Następnie wałęsałem się po parku. Siedzi tu codziennie tysiąc biedaków, czekających na Mesyasza. Gdyby było więcej ławek w parku, siedziałoby dziesięć tysięcy biedaków, czekających na Mesyasza. Miliony biedaków, czekających na Mesyasza.

Następnie skierowałem swe kroki ku rzece. Widziałem tu takie rzeczy, iż mogłyby one rozśmieszyć hipokondryka, a z ócz szczęśliwca łzy wycisnąć. Widziałem to, co się wstydzić powinno nawet w ciemności, a przecież przechadzało się środkiem ulicy w blasku słońca. Widziałem rzeczy, przy których powstaniu krwawiły się bogi, a które teraz leżą w rynsztokach. Widziałem dzieci opuszczone, staczające się w kałużę grzechu. Widziałem pieska, leżącego na aksamitach i jadącego na spacer w towarzystwie lokaja i damy do towarzystwa. Widziałem obdartusów, biegnących bez obuwia po kamieniach—i skła-

*) Hugo Bertsch: „Die Geschwister,“ Verlag Cottas Nachf. Stuttgart, 1903.

dy, gdzie obuwie psuło się wskutek długiego leżenia. Widziałem ludzi zgłodniałych, upadających wskutek braku pracy. Widziałem ludzi pomęczonych, upadających wskutek nadmiaru pracy. Ludzi, stojących na głowie, nie widziałem — widziałem jednak ludzkość całą, stojącą na głowie.“

Następuje szereg kontrastów, wstrząsających swą dosadnością. Życie Pratta — Bertscha płynęło na miedzach tych kontrastów. Po obu stronach widział zło i dobro, piękno i brzydotę — a on sam szedł w pośrodku i zbierał materyały obserwacyjne. Stąd to książka jego nabiera cech bezpośredniości. Chce być odzwierciedleniem życia i jest niem.

Bertold Merwin.

PRASA POLSKA.

— W co się obróciły nawoływania prasy naszej o zerwanie stosunków z Niemcami i nawiązanie ich z Anglikami i Francuzami, poucza nas *Gazeta Handlowa* w nr. 199, w artykule „Anglicy i my.“ W owym czasie żarliwej propagandy przeciw Niemcom, konsul angielski w Warszawie żywo zachęcał kupców i przemysłowców Wielkiej Brytanii do wysyłania swych agentów do Królestwa Polskiego i skorzystania z otwierającego się tu dla nich rynku zbytu. I oto czego się teraz dowiadujemy z powyższej gazety:

„Nie minęły jeszcze dwa lata, a do konsulatu, jak niedawno opowiadał mi wice-konsul, p. St. Clair, sypią się zewsząd skargi. Przemysłowcy angielscy strasznie się poparzyli na swoich pierwszych, polskich odbiorcach; przyzwyczajeni do solidności i punktualności zachodnio-europejskiej, spotkali się u nas z obyczajami nieznanymi gdzieindziej.

I oto słyszymy, iż obecnie jeden za drugim oświadczają, że ze stosunków z kupcami tutejszymi wycofać się pragną.

Jedna z firm angielskich użala się np., że w ciągu kilkunastomiesięcznych tranzakcyj z jednym z kupców, ani jednego rachunku nie uregulowano we właściwym terminie; inna donosi, że przy każdej zapłacie odbiorcy strącali 30% należności. Jakiś przemysłowiec angielski poniósł straty, gdyż z Warszawy odesłano mu cały transport towaru z powrotem, ze względu jakoby na złe opakowanie, mimo że w opakowaniu tem wyroby jego rozchodzą się na świat cały. Jeszcze innej firmie angielskiej nie płacono, „gdyż towar leży na komorze,“ a i z komory nie odbierano go wcale, albo mając płacić akceptami na Londyn, posyłano je jakoby do filii owej firmy w Manchesterze, która jednak również nie potwierdziła ich odbioru. Możnaby przytoczyć długi szereg faktów podobnych. Konsulat W. Brytanii jest, powtarzam, zasypany listami o prawie jednakowej treści, które różnią się tem chyba, że każdy z kupców angielskich został u nas „naciągnięty“ inaczej.

Nie można dziwić się przedstawicielowi jednej z tych zawiedzionych firm angielskich, gdy pozwala sobie na zasadzie własnych doświadczeń na uogólnienia, twierdząc, iż zarówno on, jak i jego przyjaciele handlowi powzięli zdanie, iż kupiectwo nasze uprawia niedość etyczne obyczaje handlowe, i nie można się dziwić, gdy znów inny ostrzega, iż tych stosunków handlowych z kupcami tutejszymi nietylko nie można doradzać, lecz przeciwnie odstręczać od nich należy.“

Zaszczytnie, jak widzimy, wyszła z tej próby i nasza uczciwość i nasza kultura w zetknięciu z kulturą i obyczajami Europy. Czyby jednak wobec tego nie należało, tak jak ogłaszaliśmy nazwiska tych firm, które niemczyzny wyrzec się nie chciały, podać teraz do wiadomości publicznej i postawić pod pręgierz te, które dobrą sławę całego narodu na takie sponiewieranie naraziły.

DONIESIENIA URZĘDOWE

Prawit. Wiest. ogłosił nominacyę dotychczasowego ministra skarbu, rz. r. t. sekretarza stanu S. J. Wittego na prezesa ministrów, a dotychczasowego zarządzającego Bankiem państwa, r. t. Pleske, a ministra skarbu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Warszawski oddział Towarzystwa przemysłu i handlu przesłał urzędowi miejskiemu projekt w sprawie wyjednania obowiązującego przepisu, określającego długość dnia roboczego w sklepach i kantorach handlowych.

— W Petersburgu powstaje Towarzystwo badania religii i życia ludności obcoplemiennej w Rosyi, z oddziałami w Warszawie, Tyflisie, Helsingforsie i Władywostoku.

— Zatwierdzoną została druga kasa posagowa w Warszawie.

— Wskutek starań generał-gubernatora warszawskiego ministeryum rolnictwa i dóbr państwa ogłosiło rozporządzenie, dozwalające, aby osobom poszkodowanym podczas powodzi, wydawane było, po przedstawieniu odpowiedniego zaświadczenia, drzewo budulcowe z lasów skarbowych po taksie zniżonej do połowy.

— Zatwierdzono ustawę pierwszego w Rosyi mińskiego Towarzystwa robotników i rzemieślników żydowskich.

— Ukończoną została działalność lwowskiego komitetu jubileuszowego ku uczczeniu Marya Konopnickiej ofiarowaniem poetce dworu wiejskiego, całkowicie urządzonego, stojącego wśród cienistego parku 5-morgowego, w pięknej okolicy niedaleko stacyi kolejowej Jedlicze (pomiędzy Krosnem a Jasłem). Miejscowość nazywa się Żarnowiec.

— W *Gazecie Polskiej* czytamy: „W sprawie sprzedaży dóbr Sokolniki przez p. Jarochowską z Warszawy pomieścił agent komisyi kolonizacyjnej, Karol Świnarski, w *Dz. poznańskim* wyjaśnienie, z którego okazuje się, że p. J. z całą świadomością sprzedała tę wieś w ręce niemieckie. Z początku stawiał, działający w imieniu pani J., mecenas, Wojciech Trąmpczyński, zastrzeżenie w kontrakcie z podstawionym przez komisyę kupcem, p. Krause, kiedy jednak K. odrzucił propozycyę, pani J. zgodziła się sprzedać Sokolniki *bez najmniejszej klauzuli*. Krause raz jeszcze gotów był ustąpić po otrzymaniu 20,000 marek odczepnego, ale na to pani J. się nie zgodziła i dopiero, gdy sprawa stawała się zbyt głośną, adw. Trąmpczyński ofiarował w imieniu pani J. 45,000 marek odstępnego. Oferta okazała się spóźnioną, chociaż czyniono wszystko, ażeby dobra uratować. I byłoby się to powiodło, lecz p. Jarochowska, jak pisze p. Świnarski „naraz zdecydowała się dać przewłaszczenie komisyi kolonizacyjnej.“ Sokolniki tym sposobem zostały sprzedane, a p. J. wystosowała do redakcyi list, „ubolewając“ nad, tem co się stało. Ciekawe!“

— D. 6—9 września r. b. odbędzie się w Wiedniu międzynarodowy kongres pokoju. Na ten cel Körber polecił wyasygnować 40,000 koron.

— Składki na ofiary katastrofy na Martynice, zbierane w ciągu roku we Francyi, dosięgły sumy — 9,279,233 fr.

— Sąd wojenny w Berlinie skazał podoficera Breitenbacha za znęcanie się nad podwładnymi żołnierzami w 1,800 wypadkach — na 3 i pół roku więzienia i degradacyę. Sprawa podoficera marynarki, Hüssenera, skazanego, za zabicie żołnierza, w pierwszej instancyi na cztery lata więzienia, w drugiej—na dwa lata twierdzy, odesłana została do ponownego osądzenia przed wyższy sąd wojenny.

Szkoły i wychowanie. Osoby pragnące otrzymać posadę nauczyciela rysunków w średnich zakładach naukowych, obowiązane są posiadać patent z ukończenia szkoły średniej oraz poddać się egzaminowi z rysunków. Wychowańcy Akademii sztuk pięknych w Petersburgu wolni są od egzaminu.

— Macierz szkolna w Cieszynie ogłasza, że do tamtejszego gimnazyum polskiego potrzeba dwóch zdolnych filologów-nauczycieli.

— Opracowywany jest projekt zmiany programów wszystkich szkół mechaniczno-technicznych, w celu rozszerzenia w nich zakresu wykształcenia fachowego przez utworzenie specyalnych oddziałów chemicznych, elektrotechnicznych, młynarskich oraz przemysłowych, stosownie do wymagań danej miejscowości. Utworzona w tym celu przy ministeryum oświaty specyalna komisya zażądała nadesłania programów wszystkich szkół technicznych i rzemieślniczych, znajdujących się w obrębie okręgu warszawskiego.

— Ministeryum oświaty zatwierdziło przepisy o utworzeniu przy uniwersytecie warszawskim stypendyum im. Gogola, dla studentów bez różnicy pochodzenia i wyznania.

— Dnia 10 września r. b. odbędzie się w Warszawie zjazd wychowańców VI gimnazyum męzkiego, z r. 1888.

— W Nowogródku otwierają stałe kursa pedagogiczne, przygotowujące nauczycieli dla szkół ludowych.

Z Poznańskiego. W *Kuryerze Warsz.* czytamy: „W Opalenicy, małej miejscowości w Ks. Poznańskiem, odbyło się d. 23 sierpnia zebranie hakatystów, na którem niejaki dr. Lohrer wygłosił mowę przeciw Polakom. Miarka cierpliwości, zdaniem mówcy, już dawno się przebrała. Kreciej robocie tego „nędznego plemienia“ trzeba stawić zaporę energiczną. On zna tylko dwa skuteczne środki: albo Polacy dobrowolnie wyrzekną się wszelkich dążności narodowych i zleją się z żywiołem niemieckim, albo rząd użyje—co zresztą jest jego świętym obowiązkiem — przemocy i żelazną pięścią wszelkie ślady istnienia Polaków wytępi. Z całą bezwzględnością trzeba podcinać i utrudniać nieustannie egzystencyę wrogiego żywiołu materyalnie i moralnie dopóty, dopóki tylko po niemiecku czuć, myśleć i działać nie zechce. Kresy wschodnie są ziemią pra-niemiecką i nigdy już nie śmie się na niej rozpościerać słowiańszczyzna! „Michałek“ niemiecki śpi, lecz wcześniej czy później powstać będzie zmuszony, a im później powstanie, tem gorzej. Potrzeba tylko doczekać chwili, kiedy ster państwa obejmie mąż miary i energii żelaznego kanclerza; o takiego drugiego Bismarcka Niemcy modlić się powinni żarliwie. Następnie mówca wystosował namiętny apel do Niemek, aby one dzieciom już z młodości wpajały nienawiść do Polaków. Pomimo chłodnego lata, zdarzają się przypadki wścieklizny!“

Zdrowie publiczne. W Warszawie szerzy się epidemicznie choroba żołądka i kiszek, zwłaszcza wśród dziatwy, której śmiertelność znacznie wzrosła. Lekarze za przyczynę epidemii uważają zakażoną, nieprzegotowaną wodę wiślaną, używaną za napój.

Literatura i prasa. Od 1 października wychodzić będzie w Warszawie tygodnik p. t. *Pedagog popularny*, pod redakcyą i nakładem Felicyana Borysławskiego.

— Na dochód ludności, dotkniętej klęską powodzi *Ogniwo* zamierza wydać księgę zbiorową pod tytułem *Myśl*, w której skład wejdą poważne prace pisarzy z różnych dziedzin.

— Dziennikowi *Chazjain* dano trzecie ostrzeżenie i zawieszono na miesiąc.

Sprawy ekonomiczne. W celu rozpowszechnienia użycia żelaza przy budowie i innych urządzeniach publicznych, poruszoną została sprawa wydawania pożyczek miastom i ziemstwom, na co wyznaczyć mają początkowo 5 mil. rb.

— Wskutek zastosowania nowego systemu sztucznego zadrzewiania wyrębów leśnych oraz użycia sadzonek drzew cenniejszego gatunku, okazała się konieczna potrzeba utworzenia w Królestwie Polskiem specyalnej stacyi doświadczalnej, niezależnie od nowoaleksandryjskiej. W tym celu departament leśny wyjednywa na r. 1804 sumę 5,600 rb. na urządzenie i utrzymanie drugiej stacyi.

— D. 19—24 września otworzona będzie w Mohylowie wystawa ogrodnicza z działami: chmielarskim, pszczelniczym i leśnym. Jednocześnie odbędzie się zjazd ogrodników.

Koleje i komunikacye. Z d. 1 stycznia 1904 roku stacya kolei Nadwiślańskiej Kónopnica przemianowana będzie na Radowiec, Kotuń — na Broczków, Radzyń — na Bielmo.

— Otwarte zostały stacye pocztowe: w osadzie Siedliszcze, w gub. Lubelskiej, pow. Chełmskim, w odległości 13 wiorst od stacyi pocztowej trawnickiej i w osadzie Łaszczów, tejże gubernii, w pow. Tomaszowskim, w odległości 10 wiorst od oddziału pocztowo-telegraficznego w Tyszowcach.

— Kolej Zabajkalska zawiadamia, że nie podejmuje się terminowej dostawy ładunków do stacyj położonych na wschód od jeziora Bajkał.

— Ministeryum komunikacyj poleciło zarządom kolejowym, ażeby książki, w których zapisywana jest zmiana brygad konduktorskich, prowadzone były akuratnie, zdarza się bowiem, że skutkiem niedokładności jedni i ci sami konduktorzy są czynni wówczas, gdy przypada na nich pora wypoczynku; następstwem takiego przeciążenia pracą są częste wypadki kolejowe. Za nadużycia tego rodzaju winni pociągani będą do odpowiedzialności administracyjnej.

— D. 14 sierpnia otwarty został i włączony do bezpośredniej komunikacyi z innemi drogami, ruch prawidłowy na kolei Herby-Cząstochowa, oraz na jej odnodze ze stacyi Ostrowy do Blachowni.

— *Now. Wr.* podaje wiadomość, że w Stanach Zjednoczonych utworzył się syndykat kapitalistów amerykańskich i rosyjskich, który zamierza wybudować kolej podmorską pod cieśniną Beringa, pomiędzy Alaską a Syberyą. Członkowie syndykatu opowiadają, iż Rosya jako warunek stanowczy swego ewentualnego poparcia finansowego, oraz zgody w zasadzie, postawiła gwarancyę rządu amerykańskiego, że zarówno kolej rzeczona, jak i cieśnina Beringa, w razie wojny z Rosyą, pozostaną neutralne. Syndykat ma się odwołać do kongresu Stanów Zjednoczonych z prośbą o przyjęcie tego warunku.

— W roku zeszłym koleje rządowe przyniosły 13 mil. rb. niedoboru.

Klęski żywiołowe. W Annopolu, pow. Janowski, zgorzało 24 domów mieszkalnych i 10 stodół; w Pajęcznie, pow Noworadomski — 30 domów oraz kilkadziesiąt zabudowań gospodarskich.

— D. 22 z. m. szalejący nad Władywostokiem tyfon zniósł z powierzchni ziemi kilka nowopowstałych osad; powódź zatopiła i zniszczyła ogrody i plony rolne.

Katastrofy. W Budapeszcie skutkiem pożaru w składzie towarów zginęło w płomieniach lub poniosło śmierć skutkiem wyskakiwania z okien 4-go piętra około 60 osób. W temże mieście podczas pożaru tartaku spaliło się 11 osób.

— D. 26 sierpnia na kolei Południowo-Zachodniej, między stacyami Fastowem a Kożanką rozbił się pociąg osobowy. Maszynista i konduktor zostali zabici, kilkanaście innych osób ciężko poranionych. Katastrofę wywołali włościanie przez rozsrubowanie szyn; kilku z nich ujęto, gdy rzucili się do grabieży.

— We Włoszech, pomiędzy stacyami Pasian i Codroipo, zetknął się pociąg wiozący wojsko na manewry, z towarowym — 15 żołnierzy zabitych, 37 ranionych śmiertelnie, około stu — lżej.

— D. 26 z. m. na Wezuwiuszu otworzył się nowy krater, który wyrzucił lawę i zalał nią znaczną przestrzeń.

Zmarli. Bronisław Bieńkowski, nauczyciel gimnazyum kieleckiego. Za jego staraniem podjęto wydawnictwo ku czci Adama Mickiewicza, złożone z prac kielczan.

— Zygmunt Wyganowski, prezes Dyrekcyi Szczeg. Tow. kred. ziemsk. w Kaliszu.

— Karol Baliński, pracownik na niwie etnograficznej, w Grodzisku.

— Gustaw Larroumet, wybitny pisarz francuski, sekretarz Akademii sztuk pięknych w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. W. Nie znamy nikogo, ktoby się tą kwestyą zajmował i mógł dostarczyć żądanej informacyi, sądzimy jednak, że w bilansie handlowym, wychodzącym corocznie, możnaby znaleźć niektóre wskazówki.

OFIARY.

Na powodzian: P. Warchalski z Kurszan rb. 52 kop. 50, T. Ch. kop. 54, Władysław Leszczyński z Krasnojarska rb. 25.

SPROSTOWANIE. W nr. 34, na str. 401, wiersz 6 od góry, zamiast „sekciarze," powinno być „nie sekciarze."

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Августа 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.